

Adam Lizakowski

**Sudecka
poezja i proza
XVII**

Dziennik pieszycki

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Sudecka
poezja i proza
XVII

Adam Lizakowski

Sudecka poezja i proza

Sudetian
poetry and prose

Dziennik pieszycki
Pieszyce's diary

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**
2016

Redakcja/Editing
dr Rafał Brzeziński
prof. Ryszard Waksmund

Korekta i nota biograficzna/Proofreading and biosketch
Urszula Ubych

Korekta języka angielskiego/Proofreading of English version
Marek Wakuluk

Skład i łamanie/DTP
Anna Brzezińska

OPRACOWANIE GRAFICZNE/GRAPHIC DESIGN
Paulina Wojciechowska-Cudak

© Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna
Bielawa 2016

ISBN 978-83-939784-8-9



**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ul. Piastowska 19c
www.mbp.bielawa.pl
www.bibliothecabelaviana.info
e-mail: bibliothecabelaviana@gmail.com

Sudecka

poezja i proza

Sudetian
poetry and prose

Dziennik pieszycki
Pieszyce's diary

Od redakcji

Dziennik pieszycki Adama Lizakowskiego to jego utrwalanie w świadomości polskiego czytelnika trudnej wędrówki emigranta z wyboru, świadomego emigranta, który wyruszył w życiową podróż w poszukiwaniu możliwości realizacji swoich marzeń i dążeń artystycznych. Adam Lizakowski wyemigrował z kraju w 1981 r. na półtora miesiąca przed ogłoszeniem stanu wojennego. Nie był uciekinierem politycznym, jego opuszczenie ojczyzny było podyktowane bardziej ciekawością i fascynacją innym światem, również względami materialnymi, ale bardziej poszukiwaniem swojej tożsamości. Mimo nalegań swojej ukochanej, Haliny, która mówiła: „Zostań, proszę cię, kielbasa, buty, to nie wszystko...” wyjechał, bo „...wzrok mijanych przechodniów parzył [jego] twarz”. Zostawił swoje rodzinne, ukochane Pieszyce, Dolny Śląsk i wyruszył w poszukiwaniu swojego przeznaczenia, wymarzonego „amerykańskiego snu”. *Dziennik pieszycki* Adama Lizakowskiego prowadzony jest od 5 stycznia 1981 r. aż do chwili opuszczenia Pieszc, czyli do 29 października 1981 r. Stanowi on swoistą wiwisekcję odczuć i przemysłów autora, dotyczącą zarówno wydarzeń rozgrywających się, w tym burzliwym i niepewnym czasie w kraju, jak również rozterek jeszcze nie emigranta, ale młodego poszukującego ciągle swojej przestrzeni twórczej literata. Jesteśmy świadkami rodzącej się *ars poetica* przyszłego poety, który debiut literacki ma już za sobą, ale to na emigracji następuje rozwój i ukształtowanie się tego poety, którego znamy dzisiaj.

Dziennik pieszycki to wyzwanie młodego, ambitnego, pewnego swoich wartości i potrzeb pisania człowieka rzucone światu literackiemu. Pragnie on wyrwać się nie zza „żelaznej kurtyny”, ale spoza kręgu odbiorców tylko i wyłącznie „Literatury na Świecie”, „Polityki”, czy „Poezji”. O swoich dążeniach i pragnieniach pracy twórczej pisał: „Na ołtarzu popiołów jednych marzeń rodzą się inne piękniejsze, śmielsze dla tych, których serce jest dzwonem obwieszczającym życie”, i to serce do

wyzwań posiadał Adam Lizakowski. Czasami dopadało go zwątpienie: „Myśli moje nie są uporządkowane, ponieważ biję się z nimi, walczę sam ze sobą, (...) chciałbym gdzieś wyjechać, (...) stąd narastający niepokój (...) nie daje mi spokoju”. Ten niepokój okazał się motywującym bodźcem do podjęcia najważniejszej decyzji w życiu poety.

Prof. Andrzej Zawada napisał: „Adam Lizakowski to znany poeta polski i amerykański. Autor licznych tomów poetyckich, w których utrwalił swoje doświadczenia i emocje związane zarówno z życiem w kraju, jak i też na dość długiej emigracji w USA, z której nie tak dawno powrócił. W swym podwójnym życiu artystycznym bardzo aktywny w działaniach na rzecz obu środowisk literackich. Publikuje po polsku i po angielsku, jako tłumacz przełożył na polski wielu współczesnych poetów Ameryki. Silnie związany z Dolnym Śląskiem, publikował również prozę, w tym dobrze zauważone *Zapiski znad Zatoki San Francisco*, w której to opowieści ważne miejsce zajmują doświadczenia i obserwacje z małej ojczyzny – Dolnego Śląska. Laureat wielu polskich i amerykańskich literackich nagród, wyróżnień, tytułów honorowych i orderów, Adam Lizakowski pozostaje przede wszystkim aktywnym, pracowitym autorem”.

W 2016 roku mija 20 lat od ukazania się *Zapisków znad Zatoki San Francisco*, gdzie *Dziennik pieszycki* stanowił ich pierwszą część. Redakcja wydawnictwa Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bielawie postanowiła wydać w swojej serii *Sudecka poezja i proza* część *Zapisków...*, które, będąc specyficznym dziełem pisarskim, są jednocześnie doskonałym źródłem wiedzy o życiu codziennym lat osiemdziesiątych toczącym się tutaj, czyli w Pieszczycach, Bielawie, Dzierżoniowie... Nie mamy zbyt wiele podobnej literatury na ten temat. *Dziennik...* na pewno wypełnia tę lukę, a przy okazji jest doskonałą lekturą, którą czyta się z dużym zainteresowaniem, bo Adamowi Lizakowskiemu udało się przekazać w swoich zapiskach rytm tamtych dni z 1981 roku. Dzisiaj, po 20 latach, *Dziennik...* nabiera szczególnego znaczenia i charakteru. Pełny życiowych refleksji stał się teraz swoistą księgą Genesis Adama Lizakowskiego, pisarza, poety, obywatela świata.

dr Rafał Brzeziński
Urszula Ubych

styczeń 1981



5 stycznia 1981

Nowy Rok 1981 rozpoczął się balem Sylwestrowym z Haliną w klubie „Mrowisko”. Stary zakończył się tragedią – ósmego grudnia w Nowym Jorku został zastrzelony John Lennon, i radością – dziesiątego grudnia 1980 r. Czesław Miłosz otrzymał w Sztokholmie Literacką Nagrodę Nobla. To trzy najważniejsze wydarzenia w moim życiu w ostatnich tygodniach. Każde z nich na swój sposób wpłynęło na moje samopoczucie budząc we mnie uczucia, o których istnieniu nigdy wcześniej nie wiedziałem.

Listopadowy numer „Literatury na Świecie” z ubiegłego roku na stronie 390 pisze: *„Nagrodę Nobla za rok 1979 otrzymał Czesław Miłosz. Czesław Miłosz jest jednym z największych poetów polskich dwudziestego wieku od czasu romantyzmu. Jest także znakomitym eseistą i godnym uwagi powieściopisarzem. Zajmował się też tłumaczeniem. Jego przekłady należą do najwybitniejszych osiągnięć translatorskich polskiej literatury współczesnej”*.

Nie wiem dlaczego „Literatura na Świecie” napisała, że Nobel Miłosza jest za rok 1979, myślę, że za rok 1980, ale może redaktorzy ulubionego przeze mnie miesięcznika wiedzą lepiej. Po raz pierwszy na poezję Miłosza natrafiłem w wakacyjnym numerze „Poezji” z ubiegłego roku, w którym zamieszczono kilka stron wierszy Noblisty. Natomiast mało wiem o nim samym. Nagle dowiaduję się, że Miłosz jest najwybitniejszym polskim poetą od czasów romantyzmu, eseistą, powieściopisarzem, którego dorobku literackiego w ogóle nie znam.

Kilka jego przekładów w dwutomowej antologii poetów języka angielskiego opracowanej przez Żuławskiego, ale to za mało, aby powiedzieć, że znam jego dorobek poetycki.

Na usprawiedliwienie swoje i „Literatury na Świecie” mogę zacytować fragment ostatniego paragrafu tej notki: *„Przez wiele ostatnich lat nieraz podejmowano próby przywrócenia poety (i nazwiska) świadomości kulturalnej zwykłego człowieka. Próby te na ogół zawodziły. Nie miejsce tu, by odpowiadać na pytanie dlaczego tak się działo. A na pytanie to odpowiedzieć trzeba”*.

No cóż, komentarza nie potrzeba, ale dobrze się stało, że „zwykły człowiek”, czyli ja, będzie mógł nareszcie dowiedzieć się, dlaczego

przez tyle lat nie mógł czytać wierszy Miłosza. Przepraszam cię mój pamiętniku, żartuję, wygłupiam się, przecież wiem, każde dziecko wie, dlaczego Miłosza i tylu innych poetów, działaczy politycznych, ludzi sumienia nie można było spotkać na niwie naszej kultury.

12 stycznia 1981

Koniec okresu świątecznego i koniec nastroju świątecznego, powracamy do codziennej normalności, czyli spraw dnia codziennego. Następne 12 miesięcy będzie rządzić nami tak, jak tylko będzie chciało, plus przypadek, plus to co zostało zapisane w gwiazdach, plus sama wiara i nadzieja dyktować będą swoje warunki, na które w wielu przypadkach zgodzimy się, bo nie będzie innego wyjścia. Życie – szkoła kompromisów – pokaże wszystko co tylko potrafi i jeszcze więcej. Biblijny Samson czy David to alegoria nas samych, słabych ludzi, którzy biorą się za bary z życiem, które rzuca nimi o ziemię, ale czasem człowiek wygrywa.

Siedzę zawinięty w koc w zimnym mieszkaniu, nad kartką papieru, dumam: co tu napisać takiego, czego jeszcze nie było. Czy prowincja Dolny Śląsk, Góry Sowie (moja mała ojczyzna) może być atrakcyjna dla tych ze stolicy. Czy opisywanie tego, co tutaj przeżywam, jak widzę i odbieram świat, może być wydarzeniem literackim? Czymś nowym czego jeszcze nie było? Albo jak połączyć śmierć Lennona z Noblem Miłosza. Nie ma w tym żadnego sensu, rozdział gitarzysty z Liverpoolu definitywnie się zakończył. Natomiast Miłosz ze swoją poezją wszedł w moje życie. Nobel Miłosza otworzył drzwi nie tylko dla mnie, ale dla wielu, którzy potrafią to zauważyć. Mogę powiedzieć – Lennona zastąpił Miłosz. Z jednej wielkiej miłości wpadłem w drugą. Dzięki Lennonowi rozpocząłem naukę angielskiego, dzięki Miłoszowi rozpocznę przygodę z polską literaturą XX wieku.

Początek roku i nowych marzeń – jak sądzę – wiele osób planuje cuda na patyku. Teraz, jak nigdy wcześniej, można pokusić się o snucie planów na cały rok: składanie życzeń, ściskanie rąk, obejmowanie się, całowanie, gratulowaniu sobie tego wszystkiego, co do tej pory się wydarzyło. Obiecanki cacanki, i tak większość planów nigdy się nie

spełni, na nasze szczęście i nieszczęście, i tak jest dobrze, i tak jest pięknie, że możemy żyć z niespełnionymi marzeniami. Tak jest najlepiej dla nas samych, ale my tego nie wiemy. Zamartwiamy się, że coś tam nam w życiu nie wyszło. Stary rok rozdrapujemy na części dni, tygodni i miesięcy, głowimy się, wymądrzamy i tak minie dwanaście miesięcy. Wtedy okaże się, że nie jesteśmy mądrzejsi. A nawet głębsi, więc wszystko pozostawiam dniom, które dopiero nadejdą. Tak będzie najlepiej, najmądrzej, najwygodniej.

A jaki był stary rok 1980? Wspaniały. Narodziny „Solidarności”, zwolnienie ze służby wojskowej z powodów zdrowotnych, poznanie Haliny, literacki Nobel Miłosza. Umarł Lennon, aby Miłosz mógł się narodzić. Na ołtarzu popiołów jednych marzeń rodzą się inne jeszcze piękniejsze, śmielsze dla tych, których serce jest dzwonem obwieszczać życie, a nie tylko pompą.

26 stycznia 1981

Czytam gazety, jakie tylko wpadną w moje ręce. Jest mi to potrzebne jak nigdy dotąd, ponieważ całe społeczeństwo dyskutuje na wszystkie tematy. Pod lupę dyskusji brane są poniedziałkowe teatry telewizji, sport, kolejki za mięsem, a skończywszy na królowej dyskusji, polityce. Pieszyckie Towarzystwo Przelewania Pustego w Próżne interesuje się prawie wszystkim. Takiego ożywienia i tylu dyskusji dawno nie było. Oczywiście polityka i sprawa dnia codziennego dominują.

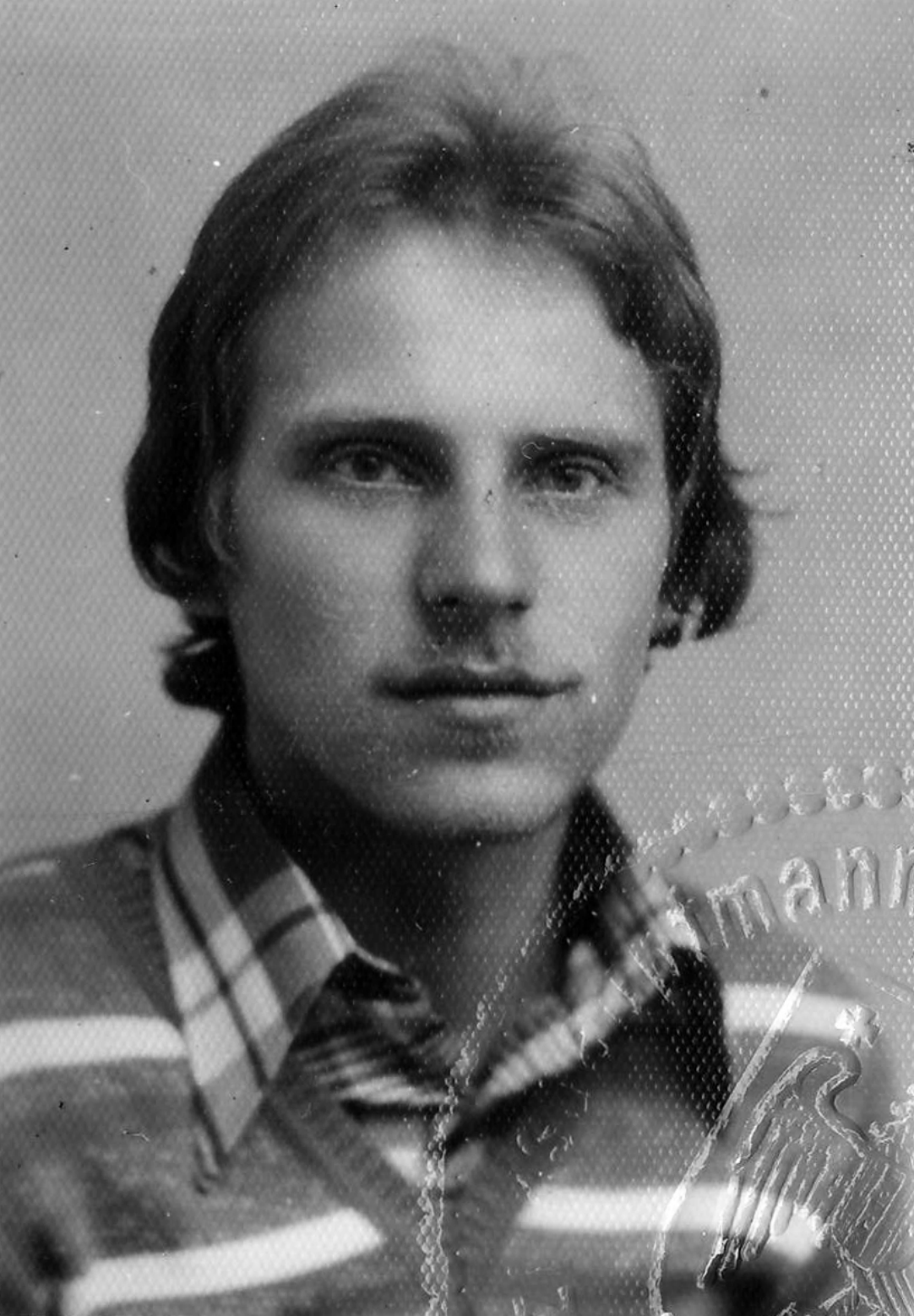
Interesującej, na poziomie, rozmowie przysłuchiwałem się w zakładzie fryzjerskim pana Zenka, w której udział wzięli jego klienci czekający cierpliwie w kolejce na strzyżenie głowy. Otóż robotnicy, którzy zupełnie niedawno temu pracowali wytrwale przy budowaniu komunizmu, narzekali, ale pracowali i nie zastanawiali się, czy są szczęśliwi, czy nie, teraz zaczęli domagać się wolnych sobót. Organizują strajki ostrzegawcze, co oczywiście doprowadza do wszelkiego rodzaju zakłóceń w życiu gospodarczym państwa, a „Trybuna Ludu” pisze o tym na pierwszej stronie. Ale klienci pana Zenka wcale się tym nie martwią, ponieważ jeśli gospodarka zupełnie upadnie, to i komunizm upadanie. Czyli im gorzej, tym lepiej. A co będzie z fabrykami, w których oni te-

raz pracują, jeśli przestaną w nich pracować, albo fabryki przestaną być opłacalne dla państwa? O tym nikt jeszcze nie mówi.

Nie mam żadnych wątpliwości, że strajki to jakieś tymczasowe rozwiązanie, ale czy rzeczywiście musi cała polska komunistyczna gospodarka skonać, aby mogła narodzić się kapitalistyczna? Prawdę mówiąc nie wierzę, że w ciągu jednego dnia lub nocy może się to dokonać. Po drugie, robotnicy tak pewnie mówili o swoich racjach, że brzmiało to w moich uszach jak zarozumiałość. To, że byli i są wykorzystywani, że „coś” im się należy, wiem już od dawna. Zgoda, należy im się to od 1945 roku, ale w tym momencie jest całkowity bałagan w kraju (jak można nazwać obecne wydarzenie), którego nawet sam Lech Wałęsa nie potrafi kontrować.

Wcale nie byłbym zdziwiony, że 90% wszystkich informacji o tym, co dzieje się w Polsce, zupełnie do przywódcy „Solidarności” nie dociera. Z jednej strony ciągle wizyty zagranicznych gości w Polsce, a z drugiej wyjazdy zagraniczne Wałęsy, np. do Francji. Bardziej wygląda to na czynienie z „Solidarności” gwiazdy sezonu niż poważne traktowanie przeciwnika, który nadal jest bardzo groźny, a Kreml wręcz nie może doczekać się położenia łapy na tym wszystkim, co się w Polsce rozgrywa. Poza tym argumenty pieszyckich robotników uświadomiły mi realia, w jakich wszyscy teraz żyjemy. Można pogratulować im tak wielkiej roztropności i rozważi. Ich wypowiedzi do mnie trafiały, szkoda tylko, że z Pieszyc jest tak daleko do władz związkowych w Gdańsku czy w Warszawie.

luty 1981



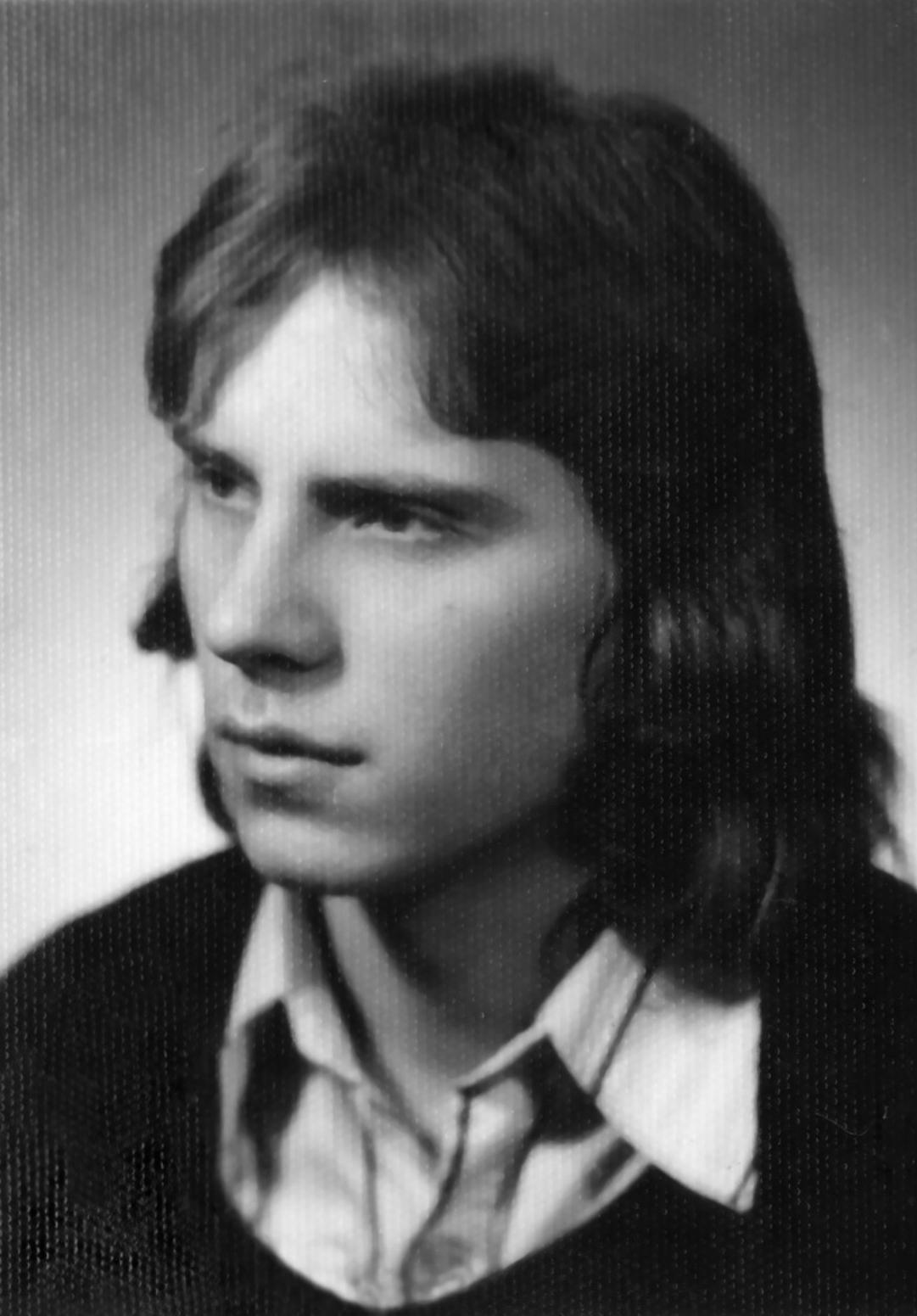
5 lutego 1981

Robert Czachorowski, kolega, poprosił mnie o małą pożyczkę pieniędzy, które ma zamiar przeznaczyć na uszycie sobie garnituru z jeansu. Robert, gdzieś jakimś psim swędem zwęszył materiał przywieziony przez kogoś, kto był w Niemczech. Niestety, musiałem mu odmówić, ponieważ chciał pożyczyć więcej niż moja miesięczna wypłata. Nie dosyć, że mu odmówilem, to jeszcze „wygłosiłem kazanie”, aby nie szalał. Koszt całego przedsięwzięcia wyniesie około 25 tysięcy złotych, czyli jakieś pięć jego wypłat. Nie wydaje mi się jednak, że przemówiłem mu do rozsądku. Taki garnitur to dopiero byłby szal, nie mówiąc już o wzdychających dziewczynach we Wrocławiu, do którego się obecnie przeprowadza.

18 lutego 1981

Generał Jaruzelski 12 lutego został premierem rządu komunistów. Poprzedni premier Józef Pięńkowski nie wywarł na mnie większego wrażenia. Nawet jego rządów nie zauważyłem. Był i przepadł jak kamień w wodę, jak jakiś bohater dopiero co przeczytanej powieści, o której po odłożeniu książki zapomina się. Wicepremierem został Mieczysław F. Rakowski, były redaktor naczelny tygodnika „Polityka”. Słowem – wojsko i dziennikarze zaczynają nami rządzić. Czy taki rząd może być stabilny i wiarygodny? Chyba nie. Czarny kolor dziennikarskiej farby gryzie się z kolorem żołnierskiej czerwonej krwi. Wymieszanie kolorów może przypominać błoto. Co to może oznaczać, nie wiem, ale gdybym wybrał się do fryzjera Zenka, na pewno bym się dowiedział. Ludzie w Pieszcach wiedzą wszystko. Jest to dla wielu tutejszych robotników oczywiste i jasne jak słońce w samo południe. Polska będzie wolna wtedy, gdy Rosja upadnie. Nie może być wolnej Polski bez wolnej Rosji, czyli dwa naczynia połączone. Ale jak wywalczyć nie tylko wolną Polskę, ale wolną Rosję, Ukrainę, Litwę, itd? Czy jest to możliwe? Gdy Rosja sama w sobie pęknie, wtedy wszystko będzie możliwe.

marzec 1981



2 marca 1981

Zima daje się we znaki, węgiel prawie się kończy i nie mam czym palić w piecu. Palę tylko w soboty i niedziele, bo wtedy przebywam w domu najwięcej. W roboczy dzień jeszcze pół biedy – jestem w pracy, wieczorem u znajomych, u Kazia Wondraszka na telewizji. W nocy jest bardzo zimno. Śpię pod grubą pierzyną, ubrany w ciepłe rzeczy. Najgorsze jest poranne wstawanie. Ubieram się dosłownie w 10 sekund. W tym moim komicznym pośpiechu zapinania rozporka, koszuli, wiązaniu butów czai się świadomość niemocy.

Wysłałem kilka wierszy do warszawskiej „Poezji”. Nowy Rok wysypał z rękawa parę nowych utworów. Jest to moje kolejne podejście i chyba nie ostatnie. Niewidzialna konkurencja jest bezwzględna i nigdy jej nie drży ręka przy wyrzucaniu wierszy do kosza na śmieci. Niestety, właściwie nigdy nie wiem, dlaczego moje wiersze zostają odrzucane. „Poezja” pismo ogólnopolskie, które czytam od pięciu lat, według mnie bardzo nierówno redagowane, nie zawsze ciekawe i nie zawsze potrafię zrozumieć kryteria redaktorów klasyfikujących wiersze do druku. W sumie nie moja to sprawa oceniać tych, co oceniają czyjaś twórczość, jedyne, co mogę zrobić, to powołać się na czas, który rozsądzi, kto miał rację.

Chociaż wiadomo, najpierw drukuje się wiersze swoich przyjaciół i znajomych, później przyjaciół znajomych, następnie polecane przez znajomych. Wiersze poetów lansowanych przez partię, nie mówiąc już o wierszach bufonów, którzy są tuż przy samym korycie poezji w Warszawie. Są też indywidualiści poetyccy nienasycony rządzą oglądania swojego nazwiska w gazecie. Słowem, mam pretensję do wszystkich tych, którzy odpowiadają za druk wierszy w Polsce, że nie publikują moich świetnych wierszy, które według mnie prezentują ciekawszą stronę życia, o której oni tam w tych swych zadymionych małych pokojach redakcyjnych warszawsko-krakowskiej kliki poetyckiej nie mają pojęcia. Głowy im ciąży od alkoholu jeszcze nie przefiltrowanego przez nerki, serce, mózg. Cha, cha, cha...

25 marca 1981

Partia opowiada się za socjalizmem. Zakończył się kolejny, bo XXVI Zjazd radzieckich komunistów. Leonid Breżniew po raz kolejny przewodniczącym KPZR. Nikogo to w Polsce nie dziwi, w Europie Wschodniej też nie, podejrzewam, że i Reagan nie jest tym zdziwiony. Zdziwienie byłoby wtedy, gdyby wybrano kogoś innego. Wtedy gorąco rozważano by co właściwie się dzieje? Kogo się bać? Gdzie szukać przyjaciół? A tak, wszystko jasne – „Radzieccy komuniści nie opuszczą polskich w biedzie”.

Kilka dni temu pobito działaczy „Solidarności” w Bydgoszczy. Społeczeństwo zostało zaalarmowane po raz kolejny bezczelnością milicji, która z nikim się nie liczy. Wiadomo, milicjanci na pewno otrzymali rozkaz – przyzwolenie z Komitetu Wojewódzkiego partii. Znosi się na strajk generalny w całej Polsce. Wałęsa uznał akcję milicji za atak na związek i słusznie, tak właśnie było, nie inaczej. Co to wszystko może oznaczać? Tylko jedno – zwycięstwo zawsze jest po stronie silniejszych.

kwiecień 1981



5 kwietnia 1981

Dwa dni temu, w piątek, w Warszawie, ukazał się pierwszy numer tygodnika „Solidarność”, niestety jeszcze do Pieszyc (moich rąk) gazeta nie dotarła, ale już teraz o tym piszę, bo jest to bardzo ważne wydarzenie. Można powiedzieć historyczne, przynajmniej dla nas, którzy przez całe życie, tj. 24 lata w moim przypadku lub trzydzieści pięć lat (od zakończenia wojny) zdani byli tylko na „Głos Ameryki” czy „Radio Wolna Europa”. Redaktorem naczelnym został Tadeusz Mazowiecki. Człowiek, o którym w Pieszcach mało kto słyszał, ale prawdopodobnie bardzo prawy, skoro został wybrany na tak wysokie stanowisko. Przynajmniej teraz będą wiadomości z pierwszej ręki, prawdziwe, bez skreśleń cenzora (taką mam nadzieję). W przeciwnym razie nie byłoby sensu wydawać jeszcze jednej gazety, która kłamie.

12 kwietnia 1981

Generał Jaruzelski apeluje o zawieszenie na trzy miesiące akcji strajkowych. Jedni uważają to za sprytny wybieg komunistów, którzy potrzebują czasu, aby się pozbierać. Inni widzą w apelu Jaruzelskiego słabość rządów komunistycznych. Są też tacy, którzy mają już dość strajków i nazywają je bałaganem – tak określają jawne manifestacje, niezadowolone społeczeństwo. Osobiście jestem za strajkami i za tym, aby komuniści jak najszybciej ustąpili, oddając władzę „Solidarności” i jej zwolennikom.

Wszystkim wiadomo, strajki osłabiają naszą gospodarkę, czynią chaos, zamieszanie, ale to i tak mała cena za odzyskaną „wolność tymczasową”, trwającą już dziewięć miesięcy, tj. od sierpnia 1980. Polska wpędza się w jeszcze większą biedę, biedni nie mogą pozwolić sobie na walkę fair play. W tym wszystkim za mało jest inteligencji, czyli ludzi, którzy mogliby na zimno, spokojnie, racjonalnie, z boku przyglądać się i podejmować decyzję. Obie strony są tak gorąco zaangażowane w szarpaninę, że nie mają chwili oddechu, aby odsapnąć i spokojnie rozejrzeć się na boki, cóż dopiero mówić o myśleniu.

25 kwietnia 1981

Pierwsi koledzy z Pieszyc grupami po trzech, pięciu wyjeżdżają na Zachód, do Niemiec. Twierdzą, że czuć już lato w powietrzu. Pracy w Polsce będzie coraz mniej, złotówka to nie pieniądz, ale rzecz umowna. Natomiast na Zachodzie z końcem wiosny pracy będzie coraz więcej, więc nie ma po co siedzieć w kraju i głodować. Sam rozmyślam o wyjeździe, może bym i wyjechał, nawet jeśli nie po pieniądze, to z ciekawości, aby na własne oczy zobaczyć ten zakazany legendarny zgniły Zachód, powąchać ten kwiatek bez zrywania go w taki polski romantyczny sposób, z zaciśniętymi zębami, oczami pełnymi łez.

maj 1981



4 maja 1981

W tym roku 1 maja wypadł w piątek, czyli cały kraj świętował przez trzy dni, (niektórzy odpracowali sobotę). Komuniści obchodzili swoje święto, ale nie tak hucznie jak zwykle. Brakło dekoracji czyli flag, portretów przywódców i proroków komunistycznych. Ulice nie były tak „pięknie i bogato” udekorowane jak kiedyś. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele, poczynawszy od kryzysu ideologii, poprzez brak pieniędzy. Wygląda na to, że komunizm kończy się wraz z brakiem finansów. Sztuka oszukiwania wykreowana przez tyle lat nagle przestaje być sztuką, ale staje się nędzną, głupią farsą. Geniusz trzech filozofów, ojców ludzkości – kończy się w jednym punkcie – pusta kasa. Nie tylko ich, zresztą.

Trzeci Maja po raz pierwszy jest nie tylko świętem kościelnym, ale i państwowym, czyli solidarnościowym. Znam takich, którzy byli na pochodzie pierwszomajowym w piątek, a w niedzielę trzeciego maja poszli do kościoła świętować kapitalistyczne święto przedwojennej Polski. Niestety, nie miałem okazji oglądać telewizji i nie wiem czy były (chyba były) pokazywane migawki filmowe z „bratnich stolic”.

6 maja 1981

Prezent od władzy ludowej na święto robotników – podwyżka cen mięsa. Jak zwykle tłumaczy się ją dużym popytem i tym, że statystyczny Polak zjada więcej mięsa niż Zachodnio-Europejczyk. Podobna sprawa jest z alkoholem: Polacy za dużo piją w porównaniu z innymi cywilizowanymi narodami. To, że państwo na wódce zarabia, o tym się nie mówi. Coraz bardziej krąży nad Polską widmo głodu. Wszyscy będziemy głodować, to nie żaden żart. 30 kwietnia wprowadzono kartki na mięso i jego przetwory, masło, mąkę, ryż i kaszę. Doszliśmy do tego, że rządy „ludzi pracy” doprowadziły kraj do całkowitego upadku gospodarczego. W życiu bym nie uwierzył, że partia komunistyczna doprowadzi do takiego upodlenia całego narodu. Starsi ludzie mówią, że za Niemca było lepiej niż teraz. Nie chcę w to wierzyć, Niemiec był okupantem, ale żeby cały naród głodzić, to naprawdę wygląda, jak jakiś

surrealistyczny film. Te kolejki za wszystkim, co tylko można dostać, a nie kupić. Niestety, coraz mniej można, a pieniądze tracą na wartości. Obecnie coraz mniej się kupuje, a więcej załatwia. Polskie pieniądze nie powinny nazywać się złote, ale z a ł a t w i ć. Powracamy do wspólnoty pierwotnej i handlu wymiennego. Ale w tym było piękno targowania się, teraz bierz chłopie, co ci w łapę wpadnie i zmykaj. Nic się nie da kupić, wszystko trzeba z a ł a t w i a ć.

12 maja 1981

W niedzielę, tj. dwa dni temu, wybrałem się na wycieczkę rowerową z grupą znajomych i przyjaciół do Srebrnej Góry (około 20 kilometrów od Pieszyc, najkrócej jest jechać przez Bielawę, Jodłownik, Wiatryczyn, Przegorzały, Jemną). Lubię od czasu do czasu wyskoczyć w tzw. teren. Większość przyjaciół to pracownicy Zakładowego Domu Kultury w Pieszcach i w Bielawie oraz młode dziewczyny, tkaczki pracujące na krosnach w zakładach włókienniczych „Bieltex”, a mieszkające w hotelu robotniczym w Pieszcach.

Srebrna Góra to był miasteczko górnicze, obecnie miejscowość wczasowa i wypoczynkowa położona w stromym wąwozie, założona w średniowieczu, ośrodek górniczy srebra i ołowiu, których pokłady wyczerpały się w XVI w. W XVIII w. powstały pierwsze tkalnie, podobnie jak w Pieszcach. Ponad miasteczkiem górują tzw. forty, czyli twierdza, wzniesiona przez króla Prus Fryderyka II. Twierdza jest wielka i różne krążą o niej legendy, m.in. że tutaj ukryto bursztynową komnatę, albo że tutaj spoczywają wielkie skarby ukryte przez Niemców na przestrzeni dziejów, a w szczególności te po II wojnie światowej.

Przepiękne położenie plus interesująca historia, niestety, nie na wiele pomagają miasteczku w ściąganiu turystów. Jak w całym kraju, tak i w Srebrnej Górze, wszystko sprzedaje się na kartki, a woda sodowa czy piwo to już prawdziwe rarytasy. Pomijając narzekania na zaopatrzenie w sumie pięknie spędziłem niedzielę. Był to mój pierwszy sportowo-turystyczny wypad rowerowy po zimie.

17 maja 1981

Stało się coś strasznego na placu św. Piotra w Rzymie. 13 maja dokonano zamachu na naszego papieża. Komu przeszkadza papież? Wiadomo, komunistom – taka jest pierwsza odpowiedź, takie są pierwsze przypuszczenia. W mojej pracy nikt nie ma wątpliwości, że to robota czerwonych. Co dalej? Czy papież przeżyje? Cud, że nie zastrzelono go na miejscu. Na tyle wystrzelonych kul, „tylko” trzy trafiły w Niego.

czerwiec 1981



2 czerwca 1981

Kilka dni temu zmarł prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński. Pogrzeb odbył się 31 maja w Warszawie. O znaczeniu i wybitnej roli tego człowieka, a w chwili obecnej już prawie świętego, w naszym życiu w PRL nie muszę pisać. Znaczenie kardynała było przeogromne i teraz po jego śmierci będzie jeszcze większe. Obecnie nazywa się go prymasem tysiąclecia.

Jedenaście lat temu, 30 maja, umarła moja mama, więc czas ten wykorzystuję na medytacje i zastanawianiu się nad sensem życia i samym sobą. Byłem w kościele, msza za duszę zmarłej zmusiła mnie do refleksji.

6 czerwca 1981

Były to marzenia zakodowane głęboko w mojej podświadomości, odkąd tylko mogłem sięgnąć pamięcią, one zawsze były. Była to miłość, o której mało wiedziałem, ale po której spodziewałem się bardzo wiele. Miłość do Zachodu, zresztą nie tylko moja, ale zbiorowa całego społeczeństwa. Wyjazd na Zachód, to dla mnie pomysł na życie tutaj w Pieszczych. Aby żyć TUTAJ w miarę wygodnie, muszę wyjechać TAM. Ile w tym logiki, nie wiem, ale jest duży sens. Komunistyczna rzeczywistość właśnie jest taka, że nie ma w niej logiki, ale ma sens dla nas żyjących tutaj, po powrocie z Zachodu z pieniędzmi.

Kilka miesięcy temu wyszedłem z wojska, wprawdzie już po 90 dniach służby, przepisy wojskowe wyraźnie mówią, że co najmniej rok, albo dwa muszę odczekać zanim będę mógł ubiegać się o wyjazd za granicę na Zachód. Świadom przepisów złożyłem podanie o paszport, będąc przekonanym, że go nie otrzymam.

14 czerwca 1981

Miłosz przyjechał do Polski 5 czerwca. Oglądam poetę w telewizji, z uwagą przysłuchuję się komentarzom. Komentatorzy podkreślają nieobecność Noblisty przez 30 lat w Polsce, o planowanym przez Wydawnictwo Literackie wydaniu jego dzieł, spotkaniu z Lechem Wałęsą i innymi przywódcami „Solidarności”, o honorowym doktoracie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Słowem, wielki poeta największym wydarzeniem tego lata.

Dobrze się stało, że Miłosz przyjechał do Polski, bo wraz z nim przybył powiew Zachodu, większe poczucie wolności. Ta nić łącząca nas z tą lepszą i bogatszą częścią świata dzięki poecie nabrała symbolicznego znaczenia, jakby powiązała dwa światy ze sobą. A przede wszystkim dopiero teraz będzie można zapoznać się z jego dorobkiem, który przez trzydzieści lat tworzył tylko dla wybranych.

Ciekawy jestem, jak krytycy ułożą nową historię literatury polskiej XX wieku? Nobel Miłosza dokonał wielkiego przełomu, komuniści będą musieli liczyć się z jego osobą i dorobkiem. Wiele rzeczy będzie musiało być od nowa rozpatrzonych, omówionych, interpretowanych. Skamandryci, według mnie, dużo stracą na swojej popularności i wyłączności. Tuwim, czy Iwaszkiewicz nie będą uważani za najwybitniejszych poetów XX wieku, ale właśnie Miłosz. To on teraz będzie tworzył i układał hierarchie wartości literackich. Wydobędzie na światło dzienne ukryte fakty sprzed II wojny światowej, plus II wojnę światową, lata powojenne, okres stalinizmu i tak dalej.

Wiadomo, nie nastąpi to w jeden miesiąc, czy rok, ale co się wydarzyło, będzie z każdym tygodniem nabierać większego znaczenia. Młodzi poeci rzucą się na Miłosza, będą wczytywać się w jej moc mającą obalić państwo przez ostatnie 40 lat i dlatego jego poezja była ukrywana. Zmieni się punkt wyjścia całej polskiej literatury po II wojnie światowej. Takich ciekawych czasów doczekaliśmy się; najpierw nasz papież, później „Solidarność”, teraz Miłosz. Kto następny? Czy Wałęsa?

20 czerwca 1981

Rozpoczynają się wakacje. Pieszyce pustoszeją. Nic się nie dzieje, nuda wygląda z każdego kąta. Atrakcją tego lata są grupowe wyjazdy za granicę. Większość kolegów już gdzieś wyjechała. Niektórzy wyruszyli w Polskę z plecakiem i gitarą nad jeziora mazurskie lub nad morze. Są też tacy, co wyjechali za ocean. W moich oczach bezustannie tasują się obrazy nieznanych mi stolic Europy Zachodniej. Nigdy tam nie byłem, ale wystarczy film, jego kawałek, najmniejszy urywek, wycinek, a moje oczy już zapamiętały wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Resztę dopełnia sen i marzenia senne oraz wyobrażenia.

Myśli moje nie są uporządkowane, ponieważ biję się z nimi, walczę sam ze sobą. Też chciałbym gdzieś wyjechać. Stąd narastający niepokój. Jak go opisać, nie wiem, ale wiem, że nie daje mi spokoju. Nagle zaczęło mi brakować czegoś, co nie było moją własnością, pewnością siebie i chęci założenia rodziny. Nie mogę usiedzieć w jednym miejscu nawet przez chwilę. Myślę o tym, aby podjąć jakieś decyzje, zacząć coś robić, ale co?

21 czerwca 1981

Wczoraj minął dokładnie rok od mojego ogólnopolskiego debiutu poetyckiego w warszawskim „Tygodniku Kulturalnym”. Dopomógł mi w tym poeta Tadeusz Nowak. Ten miniony rok, ten debiut, to taka moja poetycka ciężka, obnoszę się z nią, w oczy kłuję, mówiąc – popatrzcie na mnie, ja też miałem tę przyjemność obcowania z poezją.

Małe prywatne święto człowieka i poety z prowincji, który zaprosił z tej okazji dziewczynę swojego serca, Halinę, na obiad do jadłodajni „Ratusznik”. Dużo rozmawialiśmy (przy kotleciku mielonym) o wspólnej przyszłości, snuliśmy plany o wspólnym życiu i wspólnym wydaniu tomiku wierszy. Halina jest malarką, mogłaby zaprojektować okładkę i narysować kilka grafik do moich wierszy.

Po rozmowie z nią o tym, czułem się, jakbym przeniósł na własnych plecach Góry Sowie w inne miejsce. Niestety, nie wierzę w to, abym mógł wydać tomik wierszy mieszkając w Pieszcach. Zielonego nie

mam pojęcia, jak takie rzeczy się załatwia. Ale jedno wiem na pewno; trzeba mieć znajomości i układy, i aby je nawiązać, muszę patrzeć w stronę Wrocławia. Jeszcze lepiej byłoby popatrzeć w stronę Warszawy lub Krakowa, bo tak naprawdę tylko te miasta się liczą. Upatrzyć sobie jakiegoś poetę i „katować” go korespondencją, aż do skutku.

29 czerwca 1981

Niedzielną kilkugodzinna wycieczka rowerowa do Zagórza Śląskiego przez Piskorzów, Lutomię, w sumie około 20 kilometrów płaską asfaltową drogą. W Zagórzu Śląskim droga „podchodzi” pod przystanek autobusowy i duży plac, z którego wyboistą krętą dróżką wijącą się przez las idzie się wprost do Zamku Grodno. Zachowały się fragmenty jego gotyckich murów i armata. Pierwsze zapiski o zamku pochodzą z roku 1315. W części zamku mieści się muzeum i schronisko.

Największe wrażenie na mnie robi dzban na wodę i bochenek chleba oraz przykuty do ściany szkielet córki właściciela zamku, (księcia z rodu Piastów), która nie chciała wyjść za mąż za Niemca i zabiła go, spychając ze stromej skały. W miejscu, z którego dziewczyna zepchnęła nieszczęsnego kawalera, postawiono krzyż.

Zamek położony jest bardzo malowniczo na szczycie zalesionego wzgórza porośniętego bukami i sosnami, z którego rozpościera się piękny widok na zalew, sztuczny akwen wodny (zapora wodna na rzece Bystrzycy). Wokół nas dużo ludzi – turystów, wycieczki ze Świdnicy, Wałbrzycha, nawet z Kłodzka, duży ruch, młodzi ludzie uśmiechnięci i zadowoleni z życia, choć w restauracjach nic nie ma do jedzenia. Ale na terenie zamku można napić się piwa w bardzo stylowej piwiarni.

Historia zamku Grodno to historia księstwa świdnicko-jaworskiego, do którego należały także Pieszyce. Teren obdarzony naturalnym pięknem przyrody, stworzony dla turystów, niestety brudny, zaniedbany, pozbawiony bazy turystycznej z prawdziwego zdarzenia. Fatalne zaopatrzenie w jedzenie, jak w całym kraju zresztą.

Wycieczkę rowerową zakończyłem smutnym akcentem, bowiem w pewnym momencie postanowiłem w czasie przerwy na odpoczynek wypracować jeziorko swoje nowe trampki i skarpety. Jakiś diabeł podku-

sił mnie, abym położył je na słońcu w widocznym miejscu, licząc, że szybko wyschną. Zajęty czymś innym nie zwróciłem uwagi, (podobnie jak nikt z naszej grupy), jak i kiedy trampki wraz ze skarpetkami wyparowały.

To ogromna dla mnie strata, bo były nowe (miałem je kilka razy na nogach). Traktowałem je jak moje trofeum osobiste, sporo mnie kosztowały a kupiła je spod lady Jola Marczuk, moja znajoma, która jest przedszkolanką, od pani pracującej w sklepie obuwniczym i to w Świdnicy. Obecnie za żadne pieniądze trampek już się w Polsce nie kupi. Zakładałem je tylko na specjalne okazje, od święta, gdy wychodziłem do ludzi.

Podobna jest sytuacja ze skarpetkami, nigdzie ich nie ma. Pod koniec XX wieku ludzie latają na księżyc, budują coraz to mądrzejsze komputery, a moim największym zmartwieniem są skarpetki, trampki, obiad w niedzielę, bo w dni robocze jadam w zakładowej stołówce. Oczywiście część kartek na mięso kierowniczka wycina z mojego bloczka żywnościowego. Doszło do tego, że PRL wyhodowała ludzi, dla których za niedługo widok prawdziwej szynki, skórzanego buta, skarpetek będzie kojarzył się z wielkim luksusem i przywilejem dla najlepszych synów narodu.

lipiec 1981



2 lipca 1981

O wyjeździe na Zachód rozmawiałem z Haliną, ale ją bardziej interesuje data ślubu niż wyjazd. Ślub kościelny mogłaby wziąć ze mną już dzisiaj, lecz śmierć mojego ojca w listopadzie ubiegłego roku, czyli żałoba przez rok powstrzymuje nas od tego kroku. Aby do tej sprawy teraz, w środku lata, nie wracać zgodziłem się na ślub w grudniu. Potrzebuję rozmów o tym czy jechać na Zachód, czy zostać w Pieszczykach. Podzieliłem się też z Haliną swoim niepokojem. Ale ona inaczej rozumie mój niepokój, tłumacząc go przepracowaniem albo, jak to określiła, „chęcią ucieczki przed samym sobą”. „Nigdzie bez ciebie nie ucieknę” – odpowiedziałem jej.

Halina jest osobą bardzo praktyczną i rozsądną, obdarzoną dużym taktem i poczuciem sprawiedliwości. Naprawdę jestem w niej zakochany po uszy, ale zdaję sobie z tego sprawę, że jestem jeszcze do małżeństwa niedojrzały, tzn. chcę założyć rodzinę, ale bez popędzania. Ona traktuje mnie po matczynemu, polega to na tym, że jeśli się ze mną nie zgadza, swoje tzw. racje kończy w następujący sposób: pamiętaj, ostatecznie zdanie należy do ciebie, ale ja jestem najważniejszą osobą w twoim życiu i życzę ci dobrze.

Przeżyła na tym świecie blisko 22 lata bez większych zmartwień i obowiązków. Łagodna z natury, obdarza ludzi pięknym uśmiechem. Dla mnie jest aniołem i na pewno najlepszym rozwiązaniem, kocham ją, ale nie potrafię zdecydować się na małżeństwo w jeden dzień. Ona tak.

7 lipca 1981

Rozpocząłem pisanie tego dziennika pół roku temu z nadzieją, że uda mi się poprowadzić go co najmniej przez kilka miesięcy. Jak do tej pory mogę sobie pogratulować. Udaje mi się zmusić samego siebie do pisania. Już wielokrotnie rozpoczynałem pisanie pamiętnika, ale kończyło się na kilku zapiskach. Brak systematyczności, a przede wszystkim zawsze po kilkunastu wpisach dochodziłem do wniosku, że tak właściwie nie mam o czym pisać. Bo czy jest to istotne, że kolega mój z Dzierżo-

niowa Marian Zachoszcz poznał wspaniałą dziewczynę o imieniu Krystyna, (którą widziałem dwa razy) i lada moment wyjadą na wspólne wakacje? Kogo poza nim to interesuje? A mimo wszystko zapisuję ten fakt, bo wierzę, że po wakacjach coś się zmieni, nie tylko w ich życiu, ale i w moim, i całego kraju. Zdaję sobie sprawę z tego wszystko co teraz dzieje się w kraju. Jest to bardzo ważne i, jakby na to nie patrzeć Polska nigdy nie będzie tym krajem, jakim była przed sierpniem 1980 roku.

Obecnie nie sądzę, aby pisanie było dla mnie najwłaściwszą formą spędzania wolnego czasu. Czuję, jak podzieliłem się na dwoje. Jedna osoba pisze, druga obserwuje. Część mnie jest tutaj, druga gdzieś wędruje po dalekich krajach. To wewnętrzne rozdarcie ma duże znaczenie odnośnie wszystkiego, co może jeszcze się wydarzyć w moim życiu. Czy wróży ono coś dobrego – nie wiem. Głębsze przemyślenia, do których próbuję się zmuszać krzyżując nogi, nie są takie głębokie, brakuje mi jakiejś deski, z której mógłbym się odbić, aby pójść głębiej.

15 lipca 1981

Nowym prymasem Polski został biskup ordynariusz warmiński Józef Glemp, bliski współpracownik zmarłego prymasa. Glemp z kardynalską czapeczką na głowie wygląda dość śmiesznie, bo ma duże uszy. Wiem, że ta uwaga jest nie na miejscu, ale takie były moje pierwsze myśli, gdy zobaczyłem jego zdjęcie w gazecie. Jednak nie uszy są w tym najważniejsze, tylko to, jak nowy prymas „ułoży się z czerwonymi”.

Wczoraj w Warszawie rozpoczął się IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. Co z tego nadzwyczajnego zjazdu konkretnie wyniknie, nikt jeszcze nie wie, ale nie trudno jest się domyśleć. Partia publicznie oświadczy, że martwi się o losy robotników i zapowie następne podwyżki mięsa, wódki, papierosów, etc. Zaniepokoi się losami ojczyzny i przypomni o nierozłączalnym sojuszu przyjaźni z ZSRR i bratnimi krajami rodziny socjalistycznej. Kilku działaczy partii ze względów zdrowotnych zniknie z oczu społeczeństwa. I tyle. Gdyby któryś z wielkich komunistów PZPR powiedział otwarcie – ludzie jest źle, komunizm się skończył, jesteśmy bankrutami, przepraszamy cały naród za to wszystko co się przez te czterdzieści lat w kraju wydarzyło, nadeszły nowe czasy,

siądźmy i porozmawiajmy o naszym wspólnym domu, Polsce, wybaczyć. Wtedy taki zjazd byłby dla mnie nadzwyczajny.

Gdyby rządzący naszym krajem mogli podsłuchać o czym mówią ludzie u fryzjera Zenka w Pieszcach, jakie mają pomysły na uzdrowienie gospodarki narodowej, na pewno tyle rażących błędów by nie robili. Kto to widział, aby w kraju, który karmił kiedyś pół Europy, teraz były kolejki za mlekiem, mięsem, butami, itd. Ludzie wstydzą się za PZPR. Dopuścić do takiego dziadostwa, poniżenia i upodlenia to naprawdę potrzeba talentu. Prawie zapominałem; w głosowaniu najczęściej głosów otrzymał Stanisław Kania i ponownie będzie I sekretarzem PZPR.

24 lipca 1981

Święto 22 lipca spędziłem u cioci Stefy w Walimiu. Chciałem podzielić się z nią dwoma moimi największymi problemami; żenić się czy nie żenić? czy wyjeżdżać na Zachód na roboty. Ciocia Stefania jest siostrą mojego ojca, (zmarłego rok temu) a od śmierci matki (w roku 1970) drugą matką. Przed wojną mieszkała w Warszawie, pracowała jako gosposia prowadząc dom pewnego wojskowego wysoką rangą. Jak wybuchło Powstanie Warszawskie czynnie w nim uczestniczyła. Po Powstaniu wywieziono ją na roboty do Niemiec, z których trafiła po wojnie na Dolny Śląsk.

Wujek Władek (jej mąż) odpowiedział na pytania bardzo szybko: „Skoro ona jest już z tobą, to po co ci ślub. Jesteście szczęśliwi, to po co ci być jeszcze szczęśliwszym? Zapamiętaj to sobie na całe życie chłopcze: dobro jest wrogiem lepszego. Z tego co powiedziałeś jest ci dobrze, jesteś szczęśliwy. Po jakiego diabła masz kusić szczęście. Przed ślubem każda baba jest słodka, ale dopiero po ślubie pokaże rogi. A na Zachód nie masz po co jechać, przeżyliśmy Niemca, to i Ruskich przeżyjemy.

Ciocia Stefa była innego zdania. Dla niej ślub z Haliną to dla mnie nowe, lepsze, wygodniejsze życie. „Ile lat można być samemu?” – zapytała mnie filozoficznie. „Kobieta w domu to już rodzina, wtedy i Pan Bóg przychylniejszym okiem patrzy na człowieka. Kobieta wprowadzi więcej światła i radości w twoje życie”.

Wyjazd na Zachód to żadne rozwiązanie – stwierdziła ciocia, podobnie jak wujek (nigdy nie zarobię tyle, aby na wszystko wystarczyło – umotywowwała swoje stwierdzenie). Lepiej by było, gdybym skończył jakiś kurs rolniczy i pomógł im na gospodarce (nie mają dzieci). Bez kursu rolniczego nie dostanę gospodarstwa. Oboje z wujkiem są coraz starsi i słabsi, mają trochę pola, jest trochę łąki, można żyć.

Żeń się – powiedziała ciocia i rozplakała się. Wujek nerwowo zapalił „sporta”, zaciągnął się w mieszkaniu, ale dym wypuścił już na zewnątrz, bo wyszedł na dwór. Na pracy na roli zupełnie się nie znam, zielonego pojęcia nie mam o zwierzętach domowych, koszeniu trawy, sadzeniu kartofli, zwożeniu siana, itd. Wychowałem się w miasteczku bez psa i kota, a co dopiero mówić o krowie czy koniu.

Była to pierwsza w tym roku moja wizyta u cioci i wyprawa do Walimia, który leży w odległości 15 kilometrów od Pieszyc. Odległość tę pokonywałem na nogach wielokrotnie, drogę na skróty pokazał mi jeszcze ojciec. Najpierw jedzie się autobusem 21 z Pieszyc do Rościszowa do ostatniego przystanku, a następnie na nogach przez góry, malowniczo piękną drogą asfaltową, bardzo krętą, dlatego nazwaną serpentynami. Przez las i łąki, blisko dwie godziny zmagania i jest się w Walimiu. Kosztuje to trochę wysiłku, ale korzyść oglądania lasów, łąk, gór, przełęczy, pastwisk moim zdaniem jest o wiele większa. Są jeszcze zdziczałe sady poniemieckie, cmentarz opuszczony, ruiny domostw wysiedlonych Niemców.

Na przełęczy walimskiej, na samym jej szczycie, są ruiny zajazdu, restauracji niemieckiej, która ponoć jeszcze po wojnie funkcjonowała (tak twierdził ojciec, ilekroć obok niej przechodziliśmy). Powiedział mi, gdyż po wojnie przez kilka lat mieszkał w pobliskiej wiosce Glinno, w niej otrzymał gospodarstwo po Niemcach. Przepił je dosłownie w dwa lata i z gospodarstwa pozostały tylko wspomnienia i sąsiedzi ciepło o nim mówiący. Restauracja miała własne zasilanie elektryczne i zapewne przez wiele lat służyła turystom spragnionym górskich wędrówek. Dlaczego te zabudowania zniszczono, nie wiem. Widok z murów na przełęcz jest oszałamiająco piękny. Z tego miejsca na Wielką Sowę można dojść w godzinę

Miasteczko Walim położone jest w przepięknej dolinie, ale ciocia mieszka prawie 2 kilometry za Walimiem, na tzw. Osiedlu Królowej

Jadwigi. Osiedle składa się z kilkunastu domów znacznie wyżej położonych niż sama miejscowość. Dojść do niego, to duży wysiłek, bo droga jest kamienista, cały czas pod górę, ukształtowana przez ulewę zamieniającą się wiosną w górski potok, którego wyschniętym korytem wspinać się jest najwygodniej. Obok tej drogi, z prawej strony, na stoku góry znajduje się nowy walimski cmentarz. Piszę o nim, bo nigdy nie widziałem cmentarza na zboczu góry, tylko na płaskim terenie.

Bezpośredniego połączenia autobusowego Pieszc z Walimiem nie ma, ale można jechać autobusem przez Piskorzów, Lutomię, Zagórze Śląskie do Jugowic, tam przesiąść się i autobusem z Wałbrzycha dojechać do Walimia, z którego jest znacznie bliżej na Wielką Sowę (1015 m), tj. najwyższego szczytu Gór Sowich niż z Pieszc

Walim był dawno temu miasteczkiem górniczym. Dzisiaj jest osiedlem o charakterze przemysłowym. Wujek pracuje w zakładach lnianarskich przy garbowaniu tkaniny. Ciocia pracuje w stołówce szkolnej tuż przy zakładzie. Ciocię Stefanię Kołodziejską znają wszystkie dzieci w Walimiu z powodu stołówki, bo pracuje w niej prawie 30 lat.

W miasteczku są piękne stare domy mające po 200 lat czy nawet więcej, o grubych murach (w Pieszcach domy w 60% mają prawie po sto lat i niewiele się buduje). Walim, jak większość miasteczek w rejonie gór Sowich położone jest pięknie, ma swój specyficzny klimat i urodę, wspaniałe miejsce na turystyczne wypady. Kościół barokowy św. Barbary ma czterysta lat, jest przepiękny, a znajduje się na ulicy F. Dzierżyńskiego. Dla mnie to abstrakcja komunistyczna, aby nazwać ulicę nazwiskiem komunisty w miasteczku, które liczy sobie ponad 600 lat, z kościołem liczącym prawie 400 lat, w którym nawet drzewa, lipy średnio mają po 300 – 400 lat i są obecnie pomnikami przyrody.

Najnowsza historia Walimia, to tzw. lochy walimskie, czyli sztolnie podziemne, w których były niemieckie fabryki broni i amunicji podczas II wojny światowej. Podobnie jak w Pieszcach, tak i tutaj, pracowali więźniowie w obozach pracy (filie obozu koncentracyjnego Gross Rosen). Ile zginęło ludzi trudno powiedzieć, ale na pewno dziesiątki tysięcy. Sztolnie ciągną się kilometrami w stronę miejscowości Jugowice i Rzeczka. Do tej pory nie są zbadane i właściwie nikt nie wie, co się w nich jeszcze kryje. Wielokrotnie zaglądałem z wujkiem do wnętrza sztolni, gdy byliśmy na grzybach. Wchodziliśmy do środka czasem na-

wet i kilkadziesiąt metrów w głąb. Do dzisiaj jeszcze wiele leży worków skamieniałego cementu przy licznych wejściach do tajemniczych cementowo-betonowych lochów.

sierpień 1981



2 sierpnia 1981

Nie wiem, dlaczego przywiązuję uwagę do takich drobiazgów, jak daty, może dlatego, że jestem drobiazgowy, albo chcę pokazać sobie samemu jak czas szybko płynie. Powołano mnie do wojska, 29 lipca 1980 roku jechałem na lotnisko wojskowe we Wrocławiu z duszą na ramieniu, był wtorek, bardzo upalny dzień, a mnie wydawało się, że świat się kończy. Powołanie i pobyt w wojsku uważałem za wielkie nieszczęście, osobistą tragedię, stratę dwóch lat życia, wykreślenie ich z życiorysu. Coś, co mogło spotkać mnie najgorszego.

Uważałem, że państwo okrada mnie z dwóch lat życia w imię jakiś idiotycznych idei, których nie znam, o których nic nie chcę wiedzieć ani słyszeć. Myślenie o tym sprawiało mi ból, nie, nie jestem pacyfistą, ale w obecnych czasach broni atomowej, całej tej przeklętej techniki, po prostu nie widziałem siebie w mundurze, nawet wojsk lotniczych.

A dzisiaj minął rok od tego wydarzenia, siedzę nad kartką papieru i spokojnie zapisuję swoje myśli o wojsku, które jeszcze nie tak dawno temu przedstawiały świat jako piekło. Oczywiście teraz tego aż tak strasznie nie widzę, ale wtedy na myśl o wojsku panikowałem.

11 sierpnia 1981

Powrót do „Literatury na Świecie” i dalsze studiowanie Miłosza. Strona 53: *„Znałem starą kobietę, która w trudnych chwilach życia podnosiła powoli ręce do skroni i mówiła: „Ach, znaleźć się na wyspie bezludnej, nie mieć z ludźmi nic do czynienia, uciec, uciec gdzieś daleko”.*

Wszyscy w jakimś stopniu jesteście „starą kobietą” wobec własnej bezradności i świata, który nas otacza. Wyspa – legenda, wyspa – pragnienie, że gdzieś indziej może być lepiej. Wyspa – bezpieczeństwo, czyli izolacja od reszty społeczeństwa i świata.

Moja wyspa to Pieszyce, moją wyspą może być Halina. Ja, mieszkaniec wyspy, prostolinijny obywatel, człowiek z uporządkowanym światem (w miarę) mogę przeżyć resztę swoich dni tutaj, jak u Pana Boga za piecem. Ale czy o to mi chodzi? Czy tego pragnę? Żyjąc na wyspie, żyję czasem wyspy i sprawami wyspy, a tam gdzieś za daleką i głęboką wodą

jest ład, który rządzi się swoimi prawami. Może tam jest prawdziwe życie, a tutaj Sokratesa „cienie na ścianie”.

Życie jest walką o przetrwanie, brutalną walką, w której nie ma miejsca na litość. Zamykam oczy i widzę siebie siedzącego na skraju jaskini z maczugą w ręku. Otwieram oczy – wchodzę do pieszyckiego sklepu z pasmanterią i pytam, czy są skarpetki, albo majtki. Nie ma – odpowiada sprzedawczyni. Na głowę wali mi się cała rzymska cywilizacja Zachodu z koloseum, Szekspir, Mickiewicz to mgła. Po co tyle użytecznych rzeczy wymyślono, skoro możemy chodzić z kością zabitego dzika w nosie, z ptasim piórem we włosach, wieńcem trawy na szyi.

16 sierpnia 1981

Byłem z Haliną na ślubie kolegi z wojska (wojska lotnicze), Staszka Dudy, któremu został jeszcze rok zasadniczej służby wojskowej. Staszek mieszka w wiosce pod Świdnicą, a pracował przed powołaniem w fabryce dywanów w Kowarach.

Polubiliśmy się w wojsku tak bardzo po męsku, obaj najbardziej byliśmy odporni na wojskowe nauki, obaj często szorowaliśmy kible, lub biegali w maskach przeciwgazowych na placu przed koszarami. Wtedy nie było nam tak wesoło, jak obecnie. Przed przysięgą byliśmy na szkoleniu sześciotygodniowym w ośrodku wojskowych w górach pod Kudową, tuż przy granicy czeskiej. Przysięga odbyła się we Wrocławiu na lotnisku, przed pomnikiem pierwszego polskiego kosmonauty, pułkownika Mirosława Hermaszewskiego. Sławny lot Sojuza 30 w roku 1978.

Teraz, po roku w wojsku, Staszek nie pozwoli się starszym służbą żołnierzom pomiatać, nawet jako koty nie dawaliśmy sobie w kaszę dmuchać i mało kto mógł nam w jednostce podskoczyć. Kiedyś podczas nocnego alarmu w pełnym żołnierskim rynsztunku, nienawidzący nas sierżant Marcinek obarczył nas targaniem jakiegoś starego z lat II wojny światowej działa przeciwlotniczego ważącego ze 300 kilogramów lub więcej. Przysięgliśmy sobie, że jeśli damy radę wtoczyć działo na szczyt wzgórza właśnie zdobywanego, to tam zaimprovizujemy mój atak serca, działo nam się wymknie i z hukiem wpadnie do górskiego

potoku jakieś 50 metrów w dół. Na nasze szczęście w ostatniej chwili sierżant przydzielił nam do pomocy dwóch kolegów. Numer z atakiem serca powtórzyłem kilka tygodni później i komisja wojskowa w Gliwicach składająca się z sześciu lekarzy, po dwóch tygodniach obserwacji szpitalnej orzekła moją niezdolność do służby. Niech żyją lekarze wojskowi!!!

20 sierpnia 1981

W ubiegłym tygodniu przywódcy naszego narodu (przynajmniej oni tak myślą), Kania i Jaruzelski spotkali się z przywódcami radzieckimi w osobie Breżniewa na Kremlu. O czym ci wybitni gnębiciele swoich i nie swoich narodów rozmawiali, ludzie z zakładu fryzjerskiego pana Zenka dobrze wiedzą. *„W Polsce wylęgły się siły antysocjalistyczne, próbujące obalić jedyny, świetlany system na świecie”*. Ludzie za dobrze mają, bo za dużo mają czasu, więc myślą. A o czym myślą? O tym, jak obalić jedyną prawdziwą władzę. Co trzeba zrobić? Nie dać im jeść, wydłużyć dzień pracy, postraszyć zgniłym Zachodem i ewentualnie więzieniem.

Państwa Europy Zachodniej deklarują dla Polski bezpłatną pomoc żywnościową, ostatnio uczyniły to Włochy. Komuniści bez zażenowania i wstydu biorą rarytasy i dzielą między swoich kolegów partyjnych. Naród, jak się będzie domagał chleba to dostanie..., ale kolbą karabinu po krzyżu.

Ostatnio u pana Zenka ktoś opowiedział dowcip o tym, żeby wypowiedzieć wojnę Niemcom, poddać się, dać się złapać w łapance, niech wywożą na roboty. Straszne to.

Więc jak to jest z tym komunizmem, dobry czy zły? Dobry chyba tylko dla komunistów i cwaniaków, bo dla ludzi takich, jak ja, jego okropność jest po prostu nie do zniesienia. Tyle publicznie powiedzianego kłamstwa przez nich, żaden ludzki język by nie powiedział, więc muszą być z piekła rodem. To po pierwsze, a po drugie żaden Polak nie mógłby być komunistą, ponieważ komunizm w polskim wydaniu to okradanie Polski, niszczenie narodu i naszych tradycji narodowych, deptanie naszych świętości, za które Polacy przelewali krew.

28 sierpnia 1981

Nareszcie wpadł w moje ręce czerwcowy numer „Literatury na Świecie” w całości poświęcony Miłoszowi. Okładka w jasnozielonym kolorze, z kopią ręcznie napisanego wiersza pt. „Dar”. Na odwrocie wiersz pt. „Godzina”. Numer miesięcznika rozpoczyna się wierszem Macieja Kazimierza Sarbiewskiego (poeta piszący po łacinie w XVII w.) oraz fragmentem noblowskiego przemówienia wygłoszonego 8 grudnia 1980 w Sztokholmie.

Miłosz pisze; dwa atrybuty poety to: *chciwość oczu i chęć opisu*. Ktokolwiek jednak pojmuje poezję jako „wiedzieć i opisywać”, musi być świadomy, że wkracza w poważny spór z nowoczesnością, zafascynowaną niezliczonymi teoriami specyficznego poetyckiego języka.

Każdy poeta zależy od pokoleń, które pisały w jego rodzimym języku, dziedziczy style i formy wypracowane przez tych, co żyli przed nim. Równocześnie jednak czuje, że te dawne sposoby wypowiedzi nie są dostosowane do jego własnego doświadczenia”.

Co ma na myśl Miłosz pisząc o „chciwości oczu i chęci opisu”, i jak to ma się do „niezliczonych teorii specyficznego poetyckiego języka”. Muszę się nad tym trochę dłużej zastanowić. Gdy to czytałem, miałem wrażenie, że rozumiem, teraz, gdy położyłem książkę na stoliku myśli uciekły jak spłoszone ptaki. Być może powodem tej płochy jest Halina, która właśnie wróciła z pracy nie do siebie do domu w Bielawie, ale do mnie, bo mieszkamy razem przez ostatnie kilkanaście dni w Pieszycach. Rodzice jej wyjechali na wczasy nad morze, więc córka urwała się spod ich skrzydeł i przyzwyczaja mnie do małżeństwa. Zachowujemy się jak „prawdziwe małżeństwo”, tzn. ona sprząta, gotuje, a ja kosztuję jej pyszności, gorąco dziękując za każdą wspólną chwilę.

wrzesień 1981



5 września 1981

Kilka godzin temu Halina wróciła do swojego domu w Bielawie. W sumie spędziliśmy razem dwa tygodnie, które minęły jak piękny sen. Teraz, siedząc w pustym mieszkaniu, jeszcze bardziej doceniam jej obecność w nim. Zaledwie odprowadziłem ją na przystanek, jeszcze zapach jej obecności nie zdążył się ulotnić, jeszcze czuję ciepło jej dłoni na kubku, z którego piję herbatę, a już za nią tęsknię i nie mogę się doczekać, kiedy znowu tutaj będzie. Natomiast niewiele rozmawialiśmy o wyprawie na Zachód po złote runo. Okazji było wiele, ale ona najwyraźniej unikała tematu. Dlaczego jej nie przycisnąłem do muru i nie zapytałem wprost. Wy tłumaczenie jest jedno: jeśli zechce ze mną jechać, sama do tematu powróci. Nagle wpadłem na pomysł, aby to ona dała mi do zrozumienia, że chce wyjechać, a nie ja wmawiający jej wyjazd i cały ten Zachód ze wszystkimi korzyściami, które możemy tam osiągnąć.

Zapoznałem ją z moimi znajomymi, z którymi wybraliśmy się na parogodzinną wycieczkę do miasteczka Nowa Ruda, które leży z drugiej strony Gór Sowich. Od strony Bielawy dojechalśmy autobusem do miejscowości Jodłownik, następnie zawędrowaliśmy pieszo aż pod miasteczko Wolibórz, do którego podwiózł nas jakiś rolnik wracający z lasu wozem drabiniastym.

Z Nowej Rudy do Bielawy wróciliśmy autostopem, dużym autobusem jadącym aż do Wrocławia. Obserwowałem Halinę, patrzyłem na nią, przebywaliśmy obok siebie, ale więcej rozmawialiśmy sercami niż ustami. Zakochanym taka rozmowa wystarcza. Są obok siebie, świat nie widzą i to jest ich największa tajemnica i największa mądrość. Stworzeni tylko dla siebie, siebie nawzajem tylko tolerują, wszystko inne mają za niezbędną dekorację.

Nie miałem kiedy powrócić do lektury „Literatury na Świecie” choć pobieżnie przejrzałem ją całą, nawet partiami wczytywałem się w tekst. Na stronie 264 znajduje się kilka wierszy Josifa Brodskiego w przekładach Stanisława Barańczaka. Wiersze Rosjanina bardzo mi się spodobały, ale nie przypominam sobie, abym gdzieś trafił na jego nazwisko. Dopiero notka biograficzna wszystko mi wyjaśniła, poeta – emigrant od roku 1972 mieszka w Stanach Zjednoczonych.

Są też wiersze amerykańskiego poety zmarłego w 1962 roku Robinsona Jeffersona w przekładzie Noblisty. Pierwszy z nich na stronie 230, pt. „Kochaj dzikiego łabędzia” jest wspaniały.

*Wstręt mam do mych wierszy, do każdego słowa
Och blade, kruche kredki, zawsze nadaremnie
Falistą linię trawy chciały narysować
I ptaka, jak się stroszy w pierwszym, białym świetle.
Och popękane moje zakopcone lustra.
Niechbym nie splendor rzeczy, odbłysek jeden chwycił.*

10 września 1981

Tak bardzo przejąłem się polityką i tym wszystkim, co dzieje się w kraju, że zapomniałem o gnębiących mnie sprawach. Wyjeżdżać na Zachód czy nie? Ale jak tu o tym myśleć, skoro 5 września rozpoczął się Zjazd „Solidarności” w hali „Olivii” w Gdańsku. Bunty w polskich więzieniach, coś, co było nie do pomyślenia jeszcze kilka miesięcy temu. Kryminaliści domagają się swoich praw. Coraz częściej życie zaskakuje mnie czymś, co jeszcze nie tak dawno było zupełnie normalnym, obok czego przechodziłem obojętnie. Obecnie dzieją się rzeczy tak ważne i niepospolite, chyba po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej oczy świata z dużym zainteresowaniem i życzliwością skierowane są na Polskę.

Można wykorzystać ten fakt dla siebie osobiście. Mam wrażenie, że Zachód zaczął darzyć nas Polaków sympatią. Wielu kolegów już to wykorzystało i wyjechali. Od trzech miesięcy mam już paszport w kieszeni. Najwyższy czas podjąć jakąś decyzję. Wyjadę na roboty do Niemiec, albo do Austrii. Jak to brzmi dziwnie w uszach Polaka „wyjadę na roboty do Niemiec”. Ojczyzna po prawie pół wieku od zakończenia wojny nie potrafi młodemu pokoleniu zapewnić niezbędnych środków do życia: mieszkania, butów, chleba, mięsa, telewizora, kawałka kury na niedzielny obiad. Wstyd pisać o tak prozaicznych sprawach, ale one głównie są przyczyną wyjazdu młodych Polaków na zarobek i poniewierkę u obcych.

Nie ma na co się oglądać, „Solidarność” otworzyła granice. Jest to klucz do wolności, która zapachniała nam marzycielom nadzieją na lepszą przyszłość. Dla wielu z nas jest to chwila, którą trzeba wykorzystać i wyjechać z Polski, bez sekundy zastanawiania się. Odważniejsi koledzy już wyjechali do Niemiec. Marka niemiecka mocna, jak zęby tygrysa. Poza tym Niemcy, a raczej organizacje ziomkowskie, tylko czekają na ludzi ze „swoich wschodnich terenów”. Chociaż większość z nas nigdy nie miała nic wspólnego z Niemcami ani z niemieckością, to w obliczu zarobienia wielu marek gotowi jesteśmy wymyślać kłamstwa, wyszukiwać wujków i dziadków walczących w szeregach niemieckiej armii, za marki gotowi jesteśmy zaprzecić się wszystkiego.

12 września 1981

Przyszedł list od Wieśka, a raczej kartka z widokiem na piękne Alpy austriackie. Wiesiek wylądował gdzieś pod szwajcarską granicą, w jakimś pensjonacie. Życie sobie chwali, ale narzeka, że pracy nie ma, że trzeba będzie na nią czekać aż do zimy, gdy zacznie się sezon. Jakoś to wszystko dziwnie wygląda. On, który nigdy nie pracował, wystawał pod dyskoteką w Pieszcach albo w Dzierżoniowie pod bankiem dolary sprzedawał, teraz narzeka, że nie ma pracy. On był tym, który szczylił się, że nie musi pracować, jawnie gardził tymi, co musieli wstać o piątej rano do pracy. Martwi się, że nie ma pracy. W komunie uciekał przed nią, jak diabeł przed wodą święconą, a teraz płacze, że nie ma pracy. Wystarczyło tylko kilka tygodni oddychania „zgniłym kapitalizmem”, a już tak zmienił swój światopogląd na życie.

13 września 1981

Chyba jednak pojedziemy do Austrii, do Wiednia. Tam wezmę ślub z Haliną, na Boże Narodzenie, w Katedrze św. Stefana, w najwspanialszej katedrze, w której podziemiach śpią cesarze w złotych trumnach.

Noc Sylwestrową przetańczymy na najstarszym moście wiedeńskim, spinającym brzegi modrego Dunaju. Będziemy tańczyć walce Straussa,

pić francuski szampan. Welon ślubny Haliny będzie tak piękny i drogi, że zaraz po ceremonii ślubnej oddamy go do skrytki jednego z banków szwajcarskich, aby strzeżono go, jak złotej korony. Teściowej pokażemy tylko korki od butelek po szampanie i może ze dwa, trzy zdjęcia z naszego ślubu, o którym ludzie w Pieszczych będą mówić przez długie lata, nawet po naszej śmierci.

14 września 1981

Halina nie chce słyszeć o żadnym wyjeździe – nigdzie nie wyjeżdżamy, sprzeciwia się, gdy mówię o wyjeździe. Gdy snuję plany o pieniądzach zarobionych na Zachodzie, mówię na co je wydamy, ona jeszcze bardziej się złości, spuszcza głowę, dając mi do zrozumienia, co o tym wszystkim myśli.

Do tej pory nie ma paszportu. „Dla mnie Zachód nie istnieje” – mówi. Francuski katalog z meblami z drewna, które tak bardzo się jej podobały jeszcze kilka dni temu, odtrąca. Tłumaczę, zrozum, na takie meble tutaj musielibyśmy pracować całe życie i to we dwoje, a ona zbywa mnie swoim „no i co z tego”, dodając: „ludzie bez pięknych drewnianych mebli są szczęśliwi, żyją, pracują w komunizmie i nic się im takiego nie dzieje”.

Zachód przestał ją interesować, dobrobyt zachodni uważa za zbytek bez którego można się obejść. Zobojętniała na opowieści o lepszym życiu twierdząc, że tutaj jest najlepsze życie dla nas, bo tutaj się urodziliśmy. Po co szukać szczęścia po świecie, jeśli nie potrafimy znaleźć go w miejscu, które znamy najlepiej, które jest nasze własne. Gotowa jest nawet dostrzec piękno w kolejkach ludzi stojących za chlebem i mlekiem. Zobacz – mówi do mnie – jakie to wspaniałe, ludzie stoją w kolejce rozmawiają, czas im mile ucieka. A tak, gdyby nie kolejki, każdy szybko kupiłby to, co potrzebuje, wrócił do swojego mieszkania, zamknął się na siedem spustów, włączył telewizor i umierał z nudów w samotności. A tak w kolejce jest raźniej i przyjemniej, nawet jeśli ludzie się kłócą. Mocniej naciska mnie, aby wziąć ślub już teraz. „Do grudnia długo trzeba czekać” – tłumaczy. Pobierzmy się choćby dzisiaj”. Spuszcza głowę, dodając: „Ktoś naopowiadał mojej mamie, że ży-

jemy na kocią łapę. Ponoć cała Bielawa już o tym mówi, a w Pieszcach wszyscy wiedzą, że jesteśmy małżeństwem”.

15 września 1981

Atmosfera w Pieszcach robi się coraz smutniejsza. Coraz więcej kolegów i znajomych grupowo wyjeżdża. Ludzie otwarcie mówią o stanie wyjątkowym, nawet wojennym. „Solidarność” zapowiada nowe strajki. Ruscy na pewno dłużej nie będą czekać, wyczekują tylko na znak z Moskwy. Co wtedy się wydarzy – lepiej nie myśleć.

Jeszcze jest ciepło, jeszcze lato się nie pożegnało, ale już jesień uparcie puka do drzwi, w szczególności wieczorem daje się odczuć chłód. Ludzie niczym wiewiórki krzątają się w swoich domostwach, robią zapasy na zimę. Kiszą ogórki, szatkują kapustę. Pan Rysio Marczuk robi wino owocowe i przysięga, że przed Nowym Rokiem to nawet na butlę nie spojrzy. Inni kopią kopce na ziemniaki. Stara Kaczmarkowa sama rąbie drzewo przez ostatnie trzy dni, chociaż ma go tyle, że mogłaby nim spalić całe miasteczko Pieszyce.

Zapach kiszonych ogórków, kapusty miesza się z zapachem smażonych jabłek i śliwek na marmoladę. Wianuszki ususzonych grzybów kołyszają się w oknach niczym amulety, świadczące o wyjątkowym szczęściu ich posiadaczy. Nie czekając na zimę, Koszela, sąsiad z dołu zabija króliki, Mazurek nutrie. Na podwórku, w specjalnie zrobionych z cegieł piecach, wędzą kielbasę, mięso z zabitych zwierząt. Ludzie podsłuchują nocami Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki, kiwają z rezygnacją głowami, myją beczki, ubijają masło, solą słoninę.

Ruscy organizują manewry wojskowe w pobliżu granicy z Polską, na wschodzie. Coś się szykuje, wszyscy wiedzą, że coś niedobrego, ale nikt głośno nie chce „krakać”. „Nasi Ruscy”, stacjonujący w pobliskiej Świdnicy, też zrobili się nerwowi; „Polaki przestańcie strajkować, bo od kilku miesięcy śpimy w ubraniu i w butach”. Kuriata, co z nimi handluje złotem, tak właśnie mówi: „śpią w ubraniu i butach”. Manewry. Jedni twierdzą, że mają one większe znaczenie psychologiczne niż wojskowe, drudzy że Rosjanie chcą przestraszyć „Solidarność”. Gdyby doszło co do czego, to Ruscy mogą być w Pieszcach w ciągu pół godziny. Ta myśl

nie daje mi spokoju. Bez jednego wystrzału będą mogli zrobić z nami wszystko. Poza siekierami i kosami żadnej innej broni nie mamy. Jest jeszcze nienawiść, ale wola życia jest silniejsza.

18 września 1981

Halina nie chce wyjechać na roboty do Austrii. W ogóle nigdzie nie chce wyjeżdżać. Dopiero teraz, po pół roku mówienia o tym, zdecydowała się na pozostanie u mamy w Bielawie. Zachód nie jest dla niej. Źle się czuje, gdy myśli o podróżach. Ani meble, ani wizja lepszego, wygodniejszego życia nie interesują jej. Twierdzi, że jesteśmy skazani na biedę, i nie ma szans na ucieczkę przed nią. Przed przeznaczeniem nikt nie ucieknie. Jeśli ktoś chce uciekać, to nie tylko wpędzi się w jeszcze większą biedę, ale utraci to, co już tutaj osiągnął. Trudno jest mi z nią rozmawiać, tym bardziej przekonywać. Wygląda na to, że wie swoje, i nikt ani nic nie jest w stanie jej przekonać.

Prawdę mówiąc, rozczarowała mnie swoją postawą a nawet zdenerwowała. Jej upór traktowałem jako chwilowy, jako przekomarzenie się ze mną, nic więcej. Jej wyczekująca postawa jest dla mnie wielkim zaskoczeniem. Nie spodziewałem się tego po niej, byłem pewien, że wyjeździemy razem. Nie mam innego wyjścia, jak szukać innych amatorów do wyjazdu. Chętnych nie brakuje, ale Halina jest jedyna w Pieszczych i na całym świecie. Przyzwyczailem się do niej i do myśli, że wyjeżdżamy razem. Kochamy się, chcemy być razem, planujemy wspólną przyszłość i chcemy mieć meble w naszym mieszkaniu. Czy to wielkie marzenie?

21 września 1981

Na dyskotecę dogadałem się z dwoma kolegami, chłopcy z porządných domów, tzw. inteligencja pieszycka. Znam ich od wielu lat, były takie okresy w naszym życiu, że przyjaźniliśmy się i to dość mocno. Wspólne wypady w góry czy nad jezioro Otmuchowskie, nie wspominając o dyskotekach w klubie „Mrowisko”. Młodszy z nich, mój imiennik, Adam,

mieszka zaledwie kilka domów ode mnie, w gmachu internatu szkoły rolniczej. Wiele razy grałem z jego ojcem w piłkę na podwórku szkoły rolniczej. Znam go właściwie od zawsze.

Podobnie z Alkiem znamy się już od lat. Wiele tygodni wakacji spędziliśmy razem, łapiąc ryby w stawie przy stacji kolejowej. Chodziliśmy do jednej szkoły podstawowej numer 4, tzw. tysiąclatki, którą wybudowali więźniowie, a która po dwudziestu latach sypie się jak piaskowa babka. Legendy krążą o tym, jak więźniowie za butelkę wina oddawali okolicznym chłopom wapno, cement, cegły. Szkołę postawiono na słowo honoru kierownika budowy, więc nic dziwnego, że się sypie. Ja też dałem słowo honoru chłopakom, że będziemy wyjeżdżać i to w najbliższych dniach. Słowo się rzekło kolegom, tylko jak rozmawiać z Haliną? Ona w tym wszystkim jest najważniejsza, a najmniej ma do powiedzenia, w ogóle nie chce mówić.

Starą Kaczmarkową tak rozboleła głowa po tym rąbaniu drzewa, że żadne zioła nie pomagają. Jedni tłumaczą jej, że przepracowała się tym rąbaniem, starość nie radość, kobieta pod 80-tkę. Ale ona tłumaczy, że tak mocno bolała ją głowa w 1939, na kilka dni przed wybuchem wojny. Ludzie wierzą w takie babskie gadanie – ja też, coś się szykuje, coś wisi w powietrzu. Zauważyłem, że sąsiedzi stali się dla siebie jakby milsi, więcej czasu spędzają na wspólnych rozmowach, siedząc na ławce pod jabłonką. Przynajmniej ja tak odczuwam. Niestety, Halina nadal jest wielką zagadką, coraz mniej ją rozumiem, miła, kochana, ale w naszym porozumiewaniu się nastąpiły zakłócenia. Zaczyna boleć mnie głowa, gdy o tym myślę.

22 września 1981

Znajomi znajomych kupili mój telewizor, a Zbyszek Wójcik dostał ode mnie w prezencie niektóre książki, resztę oddam Marianowi Zachoszczowi, aby przechował je do mojego powrotu. Muszę wszystko z domu wysprzedać: stół, fotele, kolekcję znaczków, wypchane ptaki, poroża jeleni, niemieckie obrazy, kolekcję francuskich książek z przełomu XVIII i XIX wieku, które wygrzebałem dawno temu na wysypisku papierowym jednej z fabryk włókienniczych. Książki i inne przedmioty,

które tak bardzo chciałem mieć, aby być szczęśliwym, aby w ich otoczeniu czuć się dobrze, teraz muszę sprzedać w ciągu jednego tygodnia. Muszę pozbyć się tego wszystkiego jak najszybciej, „na łeb na szyję”. Nie mam żadnych szans na wyklócanie się o cenę, bo kupujący wiedzą, że zdecydowałem się na wyjazd. Dlatego jeśli im moja cena nie odpowiada, próbują mnie przetrzymywać, na co nie mogę sobie pozwolić. Muszę jak najszybciej otworzyć konto dolarowe, a dolarów mam pięć, aby wyjechać na Zachód muszę mieć ich 150. Jest to tak wielka dla mnie suma, że trudno jest mi sobie ją wyobrazić. Jak to zrobić? Mało kto chce pozbywać się dolarów. Ludzie wierzą w upadek złotówki, a w Polsce dolar zawsze był zabezpieczeniem, poza złotem oczywiście. Cudem udaje mi się kupić na czarnym rynku dwie konserwy turystyczne na drogę.

23 września 1981

Halina coraz smutniejsza, a smutek powoduje, że jest coraz ładniejsza. Mógłbym nawet powiedzieć, że ze smutkiem jest jej do twarzy, ale nie powiem tego, bo mój wewnętrzny świat wali się właśnie przez jej smutek. Serce mi się kraje, gdy na nią patrzę. Nie mogę wyobrazić sobie życia bez niej, ale decyżę o wyjeździe bez niej utrzymuję. Dziewczyna zdziżała, nawet nie chce dać się dotknąć, pocałować. Mówię do niej, ale mam wrażenie, że moje słowa do niej nie docierają. Stara Kaczmarkowa powiedziała, że dziewczyna „osowiała”. Obecnie nasze rozmowy polegają na przekonywaniu się nawzajem, czyli ona mówi swoje, a ja swoje. Nikt z nas nie chce ustąpić. Ona odradza mi wyjazd, straszy głodem, poniewierką, wszystkim, co najgorsze. Ale ja nie mogę się wycofać, chyba nawet nie chcę. Poza tym nie wierzę w jej straszenie głodem. Wydaje mi się, że jej pojęcie o Zachodzie jest zbyt staroświeckie, aby było prawdziwe. Mój ideał Zachodu nie jest taki.

Dużo rzeczy już sprzedałem po tak śmiesznie niskich cenach, że nawet nie powiem co i za ile, bo wstyd dla rodziny, jak ludzie mawiają. Robię wszystko, aby tylko uzyskać upragnione dolary. Bratu oddaję swoje mieszkanie za darmo, choć mogłem je szybko sprzedać. Wolę być zabezpieczony, gdyby coś mi nie wyszło, zawsze mogę powrócić do domu.

Brat ze szczęścia nie może jeść, ale wódeczki sobie nie odmawia. Nie chce wierzyć, że oddaję mu mieszkanie za darmo, tylko pod warunkiem, że będzie palił świeczki na grobie rodziców w moim imieniu, a gdyby co, zawsze będzie musiał mnie pod swój dach wpuścić. W ciągu jednego dnia zostałem dobrodziejem jego rodziny, a jego dzieci patrzą na mnie jak na bohatera. W sumie – nie mogą się doczekać, kiedy otrzymają klucze do drzwi. I tyle jest warta przyjaźń brata, z którym spałem w jednym łóżku pod jedną kołdrą, wobec możliwości otrzymania mieszkania.

26 września 1981

Oddałem swoje kartki na mięso jako łapówkę dla Joli w sklepie z galanterią skórzaną. Potrzebuję walizki, albo jakiejś torby podróżnej. Nie mam w co zapakować dorobku swojego życia. Pamiętam, że kiedyś były jakieś walizki w domu, ale najwidoczniej tato, zanim śmierć zamknęła mu oczy, zdążył sprzedać je na wódkę. Podobnie jak wszystkie najwartościowsze rzeczy. Wyprzedał poniemieckie zegary, poroża, samowary, obrazy, krzesła, komplet od stołu, słowem, na co tylko znalazł się kupiec i było zapotrzebowanie. Resztę spustoszenia dokonałem sam osobiście.

Cena walizki jest równa prawie mojej wypłacie. Gdy mówię o tym Halinie, ona wzrusza ramionami i mówi: „co z tego”.

– Jak to „co z tego” – dziwię się – przecież to paranoja.

– „Tak, paranoja – powtarza – ale 36 milionów Polaków żyje w tej paranoi i nie uciekają na Zachód”.

– „Ja też nie uciekam – bronię się – jadę po pieniądze na meble, ubranie i to wszystko. Pieniądze są potrzebne do normalnego życia nawet w tak nienormalnym kraju jak Polska”.

– „Zarobisz na meble, ale nie masz już mieszkania, bo oddałeś bratu. Musisz więc zarobić i na meble, i na mieszkanie, później będzie samochód i diabli wiedzą co jeszcze, słowem, zabraknie ci życia, aby na wszystko zarobić” – mówi Halina.

– „To jedź ze mną, we dwoje szybciej zarobimy” – mówię, ale ona odwraca się plecami i szlocha. Przez jej szloch słyszę słowa duszone łka-

niem: „meble nie są ci potrzebne do szczęścia, ja jestem ci potrzebna do szczęścia, czy ty tego nie rozumiesz?”

– „Rozumiem – odpowiadam pokornie – ty jesteś mi potrzebna do szczęścia, dlatego błagam cię, jedź ze mną, razem przeżyjemy coś wspaniałego, o czym tutaj nawet nie wolno nam marzyć. Półki sklepowe pustoszeją. Znika ocet i musztarda. Trzy sprzedawczynie w pustym sklepie robią na drutach, państwo i tak płaci im pensje. Podobnie jest w całym kraju. Ile jest takich pustych sklepów...?”

Jej świat to świat miłości do mnie, bez żadnego materializmu. Perspektywa stania w kolejce po mleko dla naszych przyszłych dzieci wcale jej nie przeszkadza, mnie natomiast sama już myśl o kolejkach przeraża. Wstawanie o świcie, aby być pierwszym, a później duma rozpiera mi piersi: „popatrz co załatwiłem, mówię wyjmując z torby pół kilograma kaszanki”. Nic innego kupić nie można, co za czasy, wracamy do epoki handlu wymiennego – wszystko się załatwia.

27 września 1981

Pojechałem do Bielawy, do dyrekcji zakładu pracy, aby poprosić o zwolnienie. Zwolniłem się z pracy w trybie natychmiastowym. Kierownik zupełnie nie był moją decyzją zdziwiony. „Sam bym uciekał, gdybym był młodszy” – powiedział. „Tutaj będzie niewesoło – dodał. – Jak już tam będziesz, to wyślij naszym dzieciom kolorowe widokówki, powiesimy je w gablotce przy portierni”. Nie wiem, czy zanim dojdą do Pieszczyca, odpowiedziałem mu, nasz klub utrzyma się. Sufit w sali teatralnej grozi zawaleniem już od kilku lat, poza tym skąd będą pieniądze na kulturę? Solidarność robotnicza w naszym zakładzie rozpoczęła swoje rządy od zwalniania pracowników kultury, czyli od tzw. oszczędności.

28 września 1981

Halina nadal nie wierzy, że wyjadę. Uważa, że się wygłupiam. Moje energiczne działania, wyprzedaż książek i innych przedmiotów z domu, zwolnienia z pracy dla niej nic nie znaczą. Zupełnie do niej nie

dociera, że mógłbym zostawić ją samą. Płacze. Zapewniam ją jak tylko mogę, że ją kocham, że jest w moim życiu najważniejsza, że nikogo poza nią, nigdy już nie pokocham. Czym bardziej ją zapewniam – tym mniej wierzy moim zapewnieniom.

Twierdzi, że gdybym ją naprawdę kochał, to nigdy nawet o wyjeździe bez niej bym nie pomyślał, nigdy jej samej nie zostawił. Nie może zrozumieć, że miłość miłością, a życie życiem. Dla niej życie jest miłością, a dla mnie miłość jest życiem. Jak to wszystko rozwiązać? Coraz bardziej daję się jej wciągać w dyskusje filozoficzne, z których nic nie wynika. Nie chcę przecież wyjechać dlatego, że jej nie kocham, ale właśnie dlatego, że ją KOCHAM. Niestety, coś się ze mną stało i życie w komunie przestało mnie interesować, nagle poczułem się nieszczęśliwy, zdałem sobie sprawę z tego, że 300 kilometrów dalej na zachód moje życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Dlaczego więc nie skorzystać z okazji i nie spróbować tego zakazanego owocu? Z moich 15 najlepszych kolegów 9 już wyjechało. Świat zobaczą, wrócą z pieniędzmi, kupują sobie mieszkania, samochody, dzieci posłą na prywatne lekcje języków obcych, tańca lub muzyki. Czy dla tych kilku podstawowych celów życiowych i tak oczywistych trzeba aż zdradzać ojczyznę i miłość?

Ile ja mogę zarobić jako pracownik Domu Kultury? Ile ty możesz zarobić jako projektantka wzorów przemysłowych? Pytam ją, ale ona tylko spuszcza głowę i płacze. „Pomysł – mówię do niej – „Solidarność” już wszystkie sekcje turystyczno-kulturalne w klubie polikwidowała. Został tylko kierownik, bibliotekarka i woźny. Koniec z dotacjami na kulturę. Fotograficy nie mają pieniędzy na materiały, a nawet gdyby je mieli, w sklepach nie ma nic. Podobnie sekcja wysokogórska, żeglarska, plastyczna. Ja sam się zwolniłem. To już koniec, sama czujesz, że coś musi się wydarzyć”... „Jeśli ma się wydarzyć, niech stanie się to jak najprędzej”, odpowiada, patrząc na mnie załzawionymi oczami. „Myślisz, że potrafisz stąd uciec i zapomnieć o mnie i o wszystkim, mylisz się. Nawet gdybyś wyjechał na koniec świata i tak zawsze myślałmi będziesz powracał tutaj, bo tutaj jest twoje jedyne miejsce na całym świecie. Czy tego nie rozumiesz?”. „Nie, nie rozumiem” odpowiadałem jej jeszcze bardziej wściekły na nią niż zwykle. Jej ten sam argument, że tutaj jest tylko szczęście, tutaj jest najlepiej, itd. dobija mnie. Dlaczego

miałbym tęsknić do tego miejsca? Dlaczego miałbym powracać myślami tutaj? Za dużo – mówiłem jej – naczytałaś się książek pisanych przez romantyków. Nigdy nie popatrzę w tę stronę ze łzą w oku, bo miejsce to będzie zawsze we mnie. Z nim będę wędrował po świecie, ale bez przesady, Pieszycę można pokochać, ale cierpieć z powody miłości do nich? To chyba za dużo powiedziane.

30 września 1981

Zaczynam oficjalne pożegnania ze znajomymi i przyjaciółmi. Pierwsze kroki skierowałem do pani Koffmanowej, która jest jakby moją rodziną, choć niezupełnie. Otóż, siostra pani Koffmanowej, w 1946 roku wiosną, zaszła w ciążę z moim dalszym kuzynem. Ona była Niemką, którą czekała wywózka do Niemiec, a mój kuzyn wracał stamtąd, z robót, po prawie trzech latach. Zatrzymał się w Pieszcach, a po kilku miesiącach dojechała reszta rodziny ze wschodu.

Kuzyn otrzymał gospodarstwo po jej rodzicach i zakochał się w młodej Kindze. Ona miała 17 lat, on zaś 20. Zanim urodziła dziecko, zastrzelił go rosyjski żołnierz, gdy stanął w obronie starego Niemca, któremu dzielny żołnierz bohaterskiej armii czerwonej chciał zabrać rower. Ostatnia fala wysiedlania Niemców z Pieszc odbyła się zimą 1947 roku, ale nie wszyscy wyjechali. Zostały siostry zakonne, które prowadzą szpital znajdujący się przy kościele św. Antoniego. Pomiędzy kościołem a szpitalem jest cmentarz pod opieką sióstr, na którym chowami są księża i opiekunki cmentarza. Jakimś cudem pozostała ich spora grupa, która nie zasymilowała się, nawet po trzydziestu latach większość z nich nie mówi po polsku.

Pani Koffmanowa utrzymuje kontakty z wysiedlonymi Niemcami z Pieszc, osiadłymi na północy Niemiec Zachodnich, tuż przy granicy z Belgią. Moja wizyta u niej miała na celu przypomnienie siebie oraz poproszenie o jakieś adresy. W duchu wiedziałem, że nigdy z nich nie skorzystam, ale wołałem je mieć, na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, co może człowieka spotkać w życiu.

Koffmanowa nie tylko że dała mi adres Kingi, ale także obiecała do niej napisać. Pokazała mi też zdjęcia dzieci zastrzelonego kuzyna. Po

raz pierwszy zobaczyłem swoich krewnych, bliźniaków, blondynów o jasnoniebieskich oczach. Na pożegnanie pocałowałem Koffmanową w rękę, czego nigdy nie lubiła, a ona ściszym głosem, wyjawiającym największą tajemnicę swojego życia powiedziała: „Na pewno nie wiesz, nikt w waszej rodzinie nigdy o tym nie wiedział, ale Kinga bardzo kocha twojego kuzyna, nigdy też nie wyszła za mąż. Chłopcy dopiero po kilku latach po wojnie dowiedzieli się, że ich ojcem był Polak”. Jak na tę wiadomość zareagowali mieszkając z matką w Niemczech, nie wiem. Czy miało to jakieś znaczenie dla nich, też nie wiem.

październik 1981



4 października 1981

Bierzemy z Haliną „indiański ślub”, który jest jednocześnie naszą ostatnią wspólną prywatką, a zarazem pożegnaniem z przyjaciółmi. Akcja rozgrywa się w moim pustym mieszkaniu. Siedzimy na podłodze, niektórzy na kawałkach drewna, pieńkach, które brat spali zimą w piecu. Jest wesoło, świetnie się bawimy, lecz ja jestem już poza tym towarzystwem, moje myśli są w nieznanym mi świecie, do którego podążam. Twarze kolegów roześmiane, oczka zamroczone alkoholem oglądają mnie po raz ostatni. Przynajmniej taką mam nadzieję lub, tu muszę sprostować, jeśli nie ostatni raz, to chyba nie tak szybko się spotkamy. Halina wręcza mi prezent ślubny, tomik wierszy Mickiewicza oraz dwie konserwy rybne w sosie pomidorowym. Natomiast ja zupełnie zapomniałem o prezencie ślubnym dla niej. W starą koszulę zawijam dwa notatniki akademickie z wierszami. W sumie – ponad 400 wierszy. Podarowuję jej też starą pralkę „Franię”, na którą bratowa miała ochotę. Po raz pierwszy od kilku tygodni pocałowałem ją przy wręczaniu prezentu.

Zapach jej skóry oszołomił mnie, chciałem na sekundę przytulić się, ale jej oczy powiedziały duże NIE. Wyczułem w jej spojrzeniu smutek, i choć tym razem nie płakała, oczy jej łzawiły, a każda spadająca, niewidzialna łza była gorącą iskrą na moich policzkach. Tak bardzo ją kocham, a ona nie potrafi tego zrozumieć. Co robić? Po raz pierwszy w życiu jestem w takiej sytuacji, ani w przód, ani w tył, ani w bok. Sam wpadłem w sidła własnej wyobraźni. Jest mi z tym bardzo ciężko, męczę się, przechodzę przez gorące piekło wewnętrznych niepewności. Po raz tysięczny zadaję sobie pytanie, co robić? Jak żyć w takim stresie?

7 października 1981

Po wyprzedaży całego mieszkania mam raptem 80 dolarów. Potrzebuję jeszcze 70, aby otworzyć konto w banku. Alek, towarzysz podróży, który sprzedał swój dom na Osiedlu Małym, deklaruje się pożyczyć mi owe 70 dolarów, ale jako procent bierze jedną konserwę turystyczną.

Nie miałem wyjścia, musiałem mu ją oddać. Pieniądze poleżą w banku kilka dni, a później mu je zwrócę. To straszne, trzy lata mojej pracy i wszystko to, co najwartościowsze po sprzedaniu osiągnęło wartość osiemdziesięciu dolarów czyli tyle, ile kosztuje przeciętny flakonik wody kolońskiej w Paryżu. Czysta abstrakcja, surrealizm, paranoja, słowem raj mędrców komunizmu, dla których woda kolońska w ogóle nie ma żadnego znaczenia.

10 października 1981

Halina pogodziła się z myślą o moim wyjeździe, wzięła mnie jak dziecko za rękę i zaprowadziła do kościoła, abym tam raz jeszcze przysięgł, że ją kocham, wrócę, będę o niej myślał, pamiętał, pisał, będę wierny. A ona w zamian obiecała czekać na mnie, być wierną i kochać mnie nadal, pomimo rozłąki. Ze zdjęcia namaluje mój portret, który będzie wisiał u niej w domu, w jej sypialni.

Kościół św. Antoniego, w którym byliśmy, to prywatna historia mojej rodziny. W nim zostałem ochrzczony, w nim były odprawiane nabożeństwa za zmarłą babkę Władysławę Paulinę, moich rodziców, krewnych. W tym kościele przez kilka lat służyłem do mszy świętej. Znam w nim każdy kąt, kolor farby z obrazów drogi krzyżowej Chrystusa, trzy ołtarze. Nawet wiem, gdzie ksiądz trzyma dekoracje do bożonarodzeniowej szopki.

– Czy ci tutaj źle? – zapytała mnie niespodziewanie Halina po wyjściu z kościoła. – Czy myślisz, że powinieneś wyjechać? Czy masz prawo domagać się czegoś więcej od życia niż inni?

– Mam takie samo prawo do życia jak ci szczęśliwcy urodzeni trzysta, pięćset kilometrów stąd na zachód – odpowiedziałem jej sucho. – Zrozum – spojrzałem jej prosto w twarz – jesteśmy młodzi, niczym nie ryzykujemy, jest szansa wyjazdu, wykorzystajmy ją. Posmakujmy czegoś innego, czego tutaj nam nie dano nawet skosztować. Źle czy dobrze, jakie to ma znaczenie, jeśli sami nawet nie wiemy, co znaczy źle, a co dobrze. Czy chcesz do końca życia chować cukier przed rodziną, znajomymi, wreszcie przed sobą samą?

– Jest mi to obojętne, czy jest cukier, czy go nie ma? On mi życia nie

osłodzi. Najważniejszy jesteś ty, nie cukier, słodki idioto.

Mówiła długo, a łzy płynęły jej po policzkach. Staliśmy naprzeciw siebie pod kościołem, ponad naszymi głowami jesienny wiatr gnał chmury po wieczornym niebie. Nie wiedziałem, jak mam jej odpowiadać, jakiś nieopisany ból i rozpacz ścisnęły mnie za gardło, z trudem sam wstrzymywałem się od łez. Nie wszystko to, co do mnie mówiła rozumiałem, nie wszystko do mnie docierało, byłem pod wrażeniem jej słów, emocjonalnie wzburzony, cierpiący tak jak ona.

– Próbowałam cię zatrzymać, ale nie udało mi się. Liczyłam na jakiś cud, na moment, w którym wszystko się wyjaśni i ty zmienisz zdanie, nie doczekałam się. Stoję przed tobą bezsilna, z mokrą twarzą od łez. Zamilkła. Patrzyła na mnie w milczeniu, które zdało mi się gorsze od potoku jej słów.

– Wiem, że o mnie walczysz, wiem, że mnie kochasz – wypowiedziałem te słowa, a łzy wbrew mojej woli, wypłynęły mi same spod powiek. Objąłem ją mocno, przytulając do siebie, bo nie chciałem, aby zobaczyła, że płaczę. Trzymałem ją w uścisku przez chwilę, całując po włosach, twarzy, czole, tuląc się do niej. Poczułem się jak dziecko, bezbronny, któremu, ktoś dużo silniejszy zabrał zabawki. Nie wiedziałem, w którą stronę mam iść, co powiedzieć, byłem ogłuszony biciem własnego serca.

13 października 1981

Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, co właściwie robię. Nie chcę się cofnąć, choć czuję, że Halina będzie stracona na zawsze. To ona, nie wyrażając zgody na wyjazd, jednocześnie podjęła decyzję zerwania ze mną na zawsze. Miłość słodsza niż meble własnej roboty, wspólna przyszłość zawisała nad przepaścią zawieszona naszymi rękami. Czy można jednak postawić pomiędzy nią a meblami znak równości? Rosnący niepokój, lęk przed utratą Jedynej – przesłodkiego anioła o rudych włosach, zielonych oczach, ustach słodszych niż sułtański krem, podchodzi do samego gardła. Powoli posuwa się naprzód, paraliżując mnie zupełnie.

Nie boję się wyjazdu, ale gdy o nim myślę, dostaję gęsiej skórki. Nie uciekam przed swoją miłością. Nie myślę, co będzie, ale ogarnia mnie lęk przed czymś, o czym nawet teraz nie mogę myśleć, bo po prostu nie wiem, co to może być. Jestem wewnętrznie rozdarty, decydując się na wyjazd bez Haliny, do końca życia będę tego żałował. A może okaże się sprytny i przebiegły, zarobię i wrócę i będziemy dalej ze sobą, i wszystko dobrze się zakończy, jak w pięknej bajce.

Czy jest to lęk przed nieznanym? Jak go opisać? Chyba nigdy wcześniej tak się nie czułem. W chwili obecnej jest to dla mnie coś nowego, coś, czego nie rozumiem i nie potrafię opisać. Na pewno będzie dobrze. Tylko dlaczego dzisiaj pada deszcz? Czyżby wody wyobraźni wzbierały po to, aby statek mój mógł swobodnie wypłynąć na szersze wody? Zostając tutaj do końca życia skazany byłbym na mieliznę, na życie w stawie, a ja tak bardzo pragnę wielkiej wody, głębokiej wody.

19 października 1981

W ciągu ostatnich kilku dni zaszły przeogromne zmiany w moim widzeniu świata. A mój świat – to Pieszyce. Ale czy jest to cały świat? Na pewno nie. Świadomość wyjazdu otworzyła me oczy szeroko i rozbudziła chęć przyjrzenia się bliżej światu, w którym żyłem. To, na co patrzyłem przez tyle lat, codziennie, w chwili podjęcia całkowitej i nieodwracalnej decyzji nabrało innych kształtów. Jeszcze nie wyjechałem, a już TO nie było tym samym, co kilka godzin, nawet kilka minut wcześniej. Decyzja wyjazdu spowodowała, że zdałem sobie sprawę z tego, że naprawdę nie wiem, kiedy będę mógł raz jeszcze spojrzeć na Pieszyce. Myśl ta przestraszyła mnie. Jak to, nigdy mam już do mojego miasteczka nie wrócić i nigdy więcej mam nie oglądać ulic, drzew, ludzi, nie rozmawiać z nimi? Wyjeżdżam, klamka zapadła. Jednak moja dzisiejsza świadomość wyjazdu jest zupełnie inna od tej sprzed paru godzin. Zanim wyjadę, muszę nasycić swoje oczy obrazami Pieszc i okolic.

Od sąsiada, Ryśka Marczuka, pożyczyłem rower i na nim objechałem całą gminę pieszycką. Co za rozkosz, uśmiechałem się sam do siebie, gdy z pagórków w Rościszowie oglądałem Pieszyce, Bielawę

i Dzierżoniów. Wiał rzeński wiatr, październik, jeden z najpiękniejszych miesięcy, w szczególności w górach. Żłoto, czerwień i purpura to kolory liści. Młodsze klasy szkoły podstawowej wybrały się do lasu po żołędzie i kasztany. Praktyczny nauczyciel, niczym Stwórca, rozkaże swym podopiecznym, aby na lekcjach prac ręcznych, przy pomocy zapalek, żołędzi, kasztanów, zrobić leśne ludki.

Jesienne niebo, krajobrazy dzieciństwa, patrzę na nie po raz ostatni i gdybym powiedział, że po raz pierwszy dopiero teraz je widzę, też bym nie skłamał. Strach, że mógłbym coś zgubić, gdzieś po drodze, nie daje mi spokoju. Buki, brzozy, sosny, lipy, kasztany, ziemia, po której biegałem, a która nigdy nie parzyłaś mnie w stopy – bez żalu i rozrzewnienia – żegnam się z wami. Wy, moi mistrzowie, nauczyciele moich klęsk i triumfów, zostawiam was. Gdziekolwiek będę, zawsze zdam wam raport z tego, jak żyję. Wy, opiekuńcze bóstwa gór i lasów, wy, życiodajne źródła – mam wasze oddechy pod swoją skórą.

Zabieram was w podróż na drugi koniec świata, nie będzie to podróż łatwa, ale będzie to podróż do marzeń i nadziei na lepsze życie. Jak za każdą, tak i za tą, trzeba będzie zapłacić swoją cenę i ponieść jakieś ofiary. Pierwszą z nich jest ofiara miłości, najwyższa cena, jaką człowiek, poza życiem, może zapłacić. Podejrzewam, że na tym tylko się nie skończy, ponieważ do końca swoich dni będę płacił cenę swoich już podjętych decyzji. Czy kiedykolwiek się wypłacę? Czy kiedykolwiek wyjdę na swoje? Dzisiaj mogę powiedzieć, że nie. Straciłem bliską mi osobę, która wciąż po cichu liczy na moją zmianę decyzji. Czy odzyskam jej miłość?

Tego się dowiem w swoim czasie. Ostatecznie i Halina może zmienić swoje zdanie. Nawet gdybym wyjechał na koniec świata są koperty, znaczki pocztowe, telefony; zawsze mogę się z nią skontaktować, a nawet połączyć osobiście. Bardzo mocno wierzę w taką możliwość.

20 października 1981

Coś zaczęło się dziać, coś złego, wojsko sięga po władzę. Stanisław Kania zostaje odsunięty a jego miejsce zajmuje generał Wojciech Jaruzelski. Mało tego, że jest obecnie I sekretarzem PZPR, to nadal pozostaje

premierem i ministrem obrony narodowej. Połowa Polski strajkuje, mam wrażenie, że w chwili obecnej nawet „Solidarność” nie wie, co naprawdę jest grane.

Kolega z liceum, Rysiek Koziar z Bielawy, miał wyjść z wojska w tym tygodniu. Niestety, Rada Ministrów przedłużyła służbę o dwa miesiące. PZPR usuwa członków ze swoich szeregów i to publicznie. Stefan Bratkowski, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, usunięty z partii. Co to wszystko może oznaczać?

24 października 1981

Wszystko już mam spakowane, za kilka dni wyruszamy w drogę. To „wszystko”, to kilka starych koszul, swetrów, skarpet, ręczników, etc. Pozostało mi nawet kilkanaście tysięcy złotych, które mogę wydać na cokolwiek, ale w sklepach niczego nie ma. Sejm nawołuje do spokoju społecznego. „Solidarność” wezwwała do rozważy w podejmowaniu decyzji o strajkach. Jeśli podobna sytuacja potrwa dłużej, zwykli ludzie stracą całkowicie rozeznanie w sytuacji. Pomijając fakt, że nie będą mieli w czym chodzić, przykładem niech będą moje buty, dosłownie spadające z nóg. Kupić nowych nie jestem w stanie, ponieważ po prostu nie ma butów. Próbowaleм nawet coś załatwić, ale przyniesiono mi o trzy numery za duże i zrezygnowałem. Gdybym pozostawał w Polsce, na pewno wziąłbym je na wymianę, pieniądze jeszcze więcej stracą na wartości.

Pisać o tym, że jestem umęczony, że mam zszarpane nerwy przez Halinę i wyjazd, z trudem mogę znaleźć sobie miejsce, nie ma potrzeby. Jestem skonany, czym bliżej wyjazdu, tym bardziej czuję, jak serce mnie kuje. Wzrok mam skupiony na zegarku, z niecierpliwością śledzę ruchy wskazówek, nie śpię, ale czuwam, budząc się co kilkadziesiąt minut. Pozostałem sam ze spakowanymi torbami. Halina już się zupełnie ode mnie odsunęła, wycofała się z mojego życia, bo ono jest już z drugiej strony granicy – myślę o tym z wielkim żalem, jest mi ciężko. Dochodzi czwarta nad ranem, sen przemyka mi powieki, chcę usnąć, ale prześcieradło parzy w plecy.

Kierowcą będzie szwagier Alka, jeden z najsprytniejszych chłopaków

ków w Pieszcach, który kilka razy w roku wyjeżdża za granicę na zakupy, dlatego uważany jest za mądrego. Małym fiatem, we czterech, jedziemy prosto ku naszej lepszej przyszłości. Mały fiat, to nie mercedes, ale historia zna wielu takich, co wyruszeni w podróż, mając w garści tylko sękaty kij.

29 października 1981

O godzinie drugiej po południu wyruszyliśmy. Akurat ludzie wyszli z pracy, z pierwszej zmiany. Halina nawet nie płakała. Szttywna, a może drętwa, półprzytomnym wzrokiem żegnała mnie. Przytuliłem ją do siebie, ale nie czułem bicia jej serca. Zagadkowa, jak Sfinks, milczała, żegnała się ze mną tak, jak żegna się z umarłym. W ostatniej chwili wręczyła mi cztery kanapki z kielbasą, mówiąc: „Urwałam się z pracy, aby kupić tę kielbasę i o mało nie spóźniłam się na pożegnanie z tobą. Pozdrowienia masz od mojego kierownika, który uważa, że dobrze postąpiłeś. Jedź i szybko wracaj, będzie mi ciebie bardzo brakowało. Na twoich pieniądzach, których jeszcze nie zarobiłeś wcale mi nie zależy, potrzebuję tylko ciebie. Zostań, proszę cię, kielbasa, buty to nie wszystko. Kocham cię”.

Na chodniku pojawili się ludzie, których znałem od urodzenia, bliscy dalsi znajomi, ulica warczała silnikami samochodów, miasteczko na moment ożywiło się, poczułem się zakłopotany. Wzrok mijanych przechodniów parzył mą twarz, chciałem jak najszybciej odjechać. „Jedź już, jedź” – pogańiałem kierowcę. „Jedź i nie zatrzymuj się nigdzie po drodze”. Końcem szalika ukradkiem ocierałem łzy, wściekły na siebie samego, na Halinę, na cały świat. Pragnąłem tylko jednego, aby jak najszybciej przekroczyć granicę polsko-czechosłowacką, aby być jak najdalej od Pieszc.

January 1981



January 5, 1981

I kicked off 1981 at a New Year's Eve ball with my girlfriend Halina at the Mrowisko club, ending the previous year of tragedy—on December 8 John Lennon was killed in New York—and happiness—two days later, Czeslaw Milosz received the Nobel Prize for Literature in Stockholm. The ball, the death, and the prize—these have been the three most important events in my life during the past weeks, each of them affecting me in one way or another, bringing forth feelings inside me that I never knew existed.

The 1979 November issue of monthly magazine *Literature Around the World* wrote on page 390 that the Nobel Prize for that year was awarded to Milosz, one of the greatest Polish romantic poets of the 20th century. He also wrote a considerable number of essays, was an accomplished novelist, and completed several translations. His translations are some of the most outstanding achievements in the translation of contemporary Polish literature.

I first came across Milosz's poetry in a summer issue of *Poetry* from last year, which ran a few pages of the Nobel Prize winning poems, but I did not know much about the man himself. I learned that Milosz is the most outstanding Polish poet from the Romantic period, an essayist, and a novelist whose literary output I don't know at all. Although a few translations have been included in the two volume anthology of English language poets completed by Zulawski, it's too little to say that I know Milosz's poetry.

To excuse myself and *Literature Around the World*, I can quote a fragment of the latest paragraph of that note: For many of the past years, many attempts have been made to bring a poet to life (and a name) into the cultural consciousness of a common man. Such trials have, for the most part, failed. This is not the place to address why this has occurred, but this question has to be answered.

January 12, 1981

I'm sitting in a cold apartment, wrapped in a blanket and musing over a sheet of paper, pondering on what to write, that has not been written yet. Would the province of Dolny Slask (my little homeland known as the Owl Mountains) be attractive for those from the capital? What is new that has not been covered yet? Or maybe I can connect Lennon's death to Milosz's Nobel Prize—moving from one of my great loves to the second. Thanks to Lennon, I started studying English; thanks to Milosz, I embarked on my adventure with 20th century literature.

And how was the old year—1980? Wonderful. It was the birth of Solidarity, the year I took a sick leave from the army, when I first met Halina, and the year of Milosz's Nobel Prize. Lennon died so that Milosz could be born. On the altar of ashes of one dream something more beautiful and bolder is born for those whose hearts ring out to announce life rather than simply pump.

January 26, 1981

In Mr. Zenek's barbershop I listened to interesting conversations of his clients, who patiently waited for a haircut. Workers who not long ago had worked persistently to build communism complained. They had worked without stopping to think if they were happy or not, although they started demanding Saturdays off. They organized warning strikes, which of course led to all kinds of disruptions to the country's economic life. The Voice of People *Trybuna Ludu* wrote about these on its front page. But Mr. Zenek's clients didn't worry about it all because they realized that, if the economy completely collapses, communism will as well. So, the worse the situation gets, the better. Of course, no one is talking about what will happen to the factory at which they work now if they stop working or if the factory stops bringing profits to the country.

I have no doubt that strikes are just temporary solutions. Must the entire Polish communist economy be damned in order for a capitalistic one to be born? Frankly, I don't believe it can happen in the course of a single day or night. The workers were probably talking about their

rights in such a way that it sounded like conceit to my ears. They were and are exploited; the state owes them – this I had known for a long time. I agree, it started as far back as 1945, but at this moment our country's status quo is in such a mess that even Walesa himself isn't able to control it.

I would not be surprised if 90% all the information about what happening in Poland failed to reach the leader of solidarity. The continuous visits from foreigners in Poland on the one side and Walesa's foreign trips—for example, to France—on the other look more like efforts to make solidarity a seasoned star rather than a serious threat to our still hungry enemies. The Kremlin can't wait to put its foot down, ending everything that is happening in Poland.

February 1981



February 18, 1981

On February twelfth, General Jaruzelski became the prime minister of the communist government. The previous prime minister didn't make a good impression on me. I didn't even pay attention to his ruling. He disappeared like a stone dropped in the water, as some kind of just-read novel hero who is immediately forgotten as soon as the book is put away. The new vice prime minister was Mieczyslaw F. Rakowski, a former editor-in-chief of the weekly newspaper *Politics*. In a word, the armed forces and the media now govern us. Can this kind of government be stable and reliable? Probably not. Journalist's black ink clashes with soldiers' red blades. The mixture of colors reminds me of mud. What this means I don't know, but if I went to Mr. Zenek's barbershop, I would certainly find out. People in Pieszyce know everything. For many local workers, it is as obvious and clear as the sun at high noon. Poland will be free only if Russia collapses. There can't be a free Poland without a free Russia, so we are two vessels joined at the hip. But how can we win not only a free Poland, but also free Russia, Ukraine, Lithuania, etc.? Is this possible? Once Russia itself bursts, everything will be possible.

March 1981



March 2, 1981

I sent a few of my poems to Warsaw's *Poetry*. The New Year spills a few new pieces from its sleeve. Another attempt and probably not the last. Invisible competition is ruthless and my hand shakes when I throw poems into the garbage can. Unfortunately, I rarely know why my poems are rejected. *Poetry* is a nationwide magazine that I have read for five years. In my opinion, it is very unevenly edited and not always interesting. I do not always understand the editors who classify poems for print. All in all, it's not my business to judge those who judge others' artistic work. The only thing I can do is call time as my witness to adjudicate as to who was right.

March 25, 1981

The ruling party subscribes to socialism. The twenty-sixth Soviet communist convention has ended. Leonid Brezhnev is once again elected the political leader of the USSR and the general secretary of the Communist Party of the Soviet Union. No one in Poland is surprised, neither is Eastern Europe; I suspect that Reagan is not surprised either. The surprise would have occurred if they had chosen somebody else. Then the world would frantically wonder what is happening? Who should they be afraid of? Where do their friends lie? But everything is clear—the Soviet communists won't leave the Polish in poverty.

A few days ago, Solidarity activists in Bydgoszcz were beat up. The general public was once again alarmed by the insolence of the police, who don't side with anybody. It's common knowledge that the police received their orders from the Provincial Committee of the Party. It looks like there is going to be a general strike in Poland. Walesa will see the police action as an attack on the solidarity labor union, which is exactly what it was. What could it all mean? Only one thing: victory always goes to the stronger player.

April 1981



April 5, 1981

Two days ago, on Friday, in Warsaw, the premiere issue of the weekly newspaper *Solidarity* came out—although, unfortunately, I have not got a hold of it here in Pieszyce, I have already written about that because it's a very important event. It could be said that it is even a historical event—at least to those of us who have listened our entire lives (24 years in my case) or 35 years (since the end of World War II), exclusively to the Voice of America or the Radio Free Europe. *Solidarity's* editor-in-chief was Tadeusz Mazowiecki, a man whom very few people in Pieszyce had heard of, but probably very honest since he was chosen for such a high position. At least now we would receive firsthand news, free of a censor's deletions (I had that hope). Otherwise, it wouldn't make sense to publicize just another newspaper to publish lies.

April 12, 1981

General Jaruzelski made an appeal for a suspension of strikes for three months. Some see this as clever subterfuge for a communist who needed time to pull everything together. Others see Jaruzelski's appeal as the weakness of the communist government. There are also those who are fed up with strikes and refer to them as a mess—this is how they name public manifestations of discontent on the part of the general public. I myself am for the strikes and for the communists to resign as soon as possible, giving up their rule to *solidarity* and its followers. Everyone knows that strikes weaken our economy. They generate chaos and create confusion, but that is a small price to pay to regain—even if only temporarily—our freedom, which has lasted for nine months already (i.e., since August 1980). Poland is driving itself into even deeper poverty; the poor can't afford a fair fight. In all of this, there is too little intelligence, meaning people with their wits about them who could make rational decisions. Both sides are so engaged in winning that they don't have time to breathe—to take a step back and calmly look around.

Friends in groups of three and five have already left for the West, to

Germany. They claim that they feel summer in the air. There are less and less jobs in Poland and zloty is no longer money but just a contract. However, in the West, as spring draws to a close, there will be more and more work, so there is no need to sit in the country and starve. I myself ponder about such a departure. Maybe I should leave—even if not for money, for curiosity to see with my own eyes that forbidden, legendary, rotten West, to smell that flower without picking it in that romantic Polish manner: with my teeth set and my eyes full of tears.

May 1981



May 6, 1981

The workers received a gift from the people's rule on the workers' holiday: an increase in the price for meat. As usual, the explanation was the large demand; with this, the average Pole eats more meat than Western Europeans. The same is true of alcohol. Poles drink too much compared to other civilized nations. Yet nothing was said about the fact that the country makes a profit on vodka. The specter of hunger is making more and more passes around Poland. We are all hungry, which is no joke. On April 30, new food stamps were introduced for meat and its preserves, butter, flour, rice, and grains such as grouts, buckwheat, millet, and barley. We have fallen into what the working people in power created: a total economical decay. In all my life, I would never have believed that the communist party would be able to drive every nation into such a frenzied degradation. Old people say that being under German rule was better than now. I don't want to believe that. Germany was an occupier, but making everyone starve looks like some surrealistic movie. There are lines for whatever one could buy. Unfortunately, less and less is available, and money has lost its value.

May 17, 1981

Something horrible happened on the St. Peter Plaza in Rome. On May 13, an assassination attempt was made on the Pope. Who is bothered by the Pope? Communists—that is the first answer, the first presumption. At work, no one has any doubts that it is Reds' doing. What is next? Will the Pope survive? It is a miracle that he wasn't fatally shot—despite so many bullets, only three hit him.

June 1981



June 6, 1981

My dreams are deeply coded into my subconscious; only I can reach my memory, which is always there. I knew a little of love, but expected a lot of it. This love for the West was not only mine, but of the collective society. A trip to the West— that was my idea of living in Pieszyce. To live HERE in moderate comfort, I must leave THERE. How much logic is in this thinking, I don't know. The communist reality is that there is no logic, but it makes sense to live here after returning from the West with money.

A few weeks ago, I abandoned my military service after only 90 days of service. Army regulations explicitly state that I must wait for at least one or two years before applying for a trip to the West. Aware of the regulations, I applied for a passport, convinced that I would not receive it.

June 14, 1981

Milosz came to Poland in June. I watched the poet on TV, attentively listening to the comments. Commentators underlined the absence of the Nobel Prize recipient in Poland for the last 30 years, comments about the publisher's plan to make his work available, his meeting with Lech Walesa and others leaders of solidarity, and his honorary doctorate from the Catholic University in Lublin. In a word, the poet was the biggest event of this summer.

It was good that Milosz came to Poland, because with him came a hint of the West and a bigger sense of freedom. That thread connecting us with that better and richer part of the world took on a symbolic meaning—as if tying the two worlds together. Only now one could get acquainted with his works, which he had created only for the chosen ones for thirty years.

Milosz's Nobel Prize has created a big breakthrough, as communists will have to take into account both him and his work. Many things must be revisited and reinterpreted from scratch. He will bring facts hidden

since before World War II, as well as those hidden during post-war years and the Stalinist period, into the light of day.

Of course, it won't happen in a month or a year, but what has already happened will be of great importance. Young poets will grow on Milosz, they will pore over his work, which has the power to knock down the state so entrenched, as it has been for the last 40 years—which is why his poetry was originally hidden. This change will be the starting point for the post-war era of all Polish literature. Such interesting times we live in: first our Pope, then solidarity, and now Milosz. Who will be next? Will it be Walesa?

June 21, 1981

Yesterday marked the one-year anniversary of my nationwide poetical debut in Warsaw's *Tygodnik Kulturalny* ("Weekly Culture"). The poet Thaddeus Nowak helped me with it. The past year—my debut year—has been my poetical pregnancy; I parade around with it, pricking others' eyes, saying "look at me" while having the pleasure of communing with poetry.

On this small private holiday of a provincial man and his poetry, I invited the girl of my heart, Halina, for lunch at the Ratuszniak restaurant. We talked a lot (over a burger) about our common future; plans made for a common life, and discussed the common publication of a small volume of poetry. Halina is an artist and painter; she has drawn some graphics for my poems and she could create the cover.

After talking with her, I felt as if I could move the Owl Mountains. Unfortunately, I don't believe I could publish a small volume of poetry living in Pieszyce. I don't have any idea how to organize that. But one thing I know for sure, I must have connections through acquaintances; to establish them, I must look in Wroclaw. It would be even better in Warsaw or Krakow, because only those cities are truly accountable. I set my sights on some poets and vowed to torture them with my correspondence to the bitter end.

July 1981



July 2, 1981

I talked to Halina about the trip to the West, but she is more interested in setting the wedding date than my trip. We could have a church wedding even today, but my father died in November of last year, so my period of mourning for a year has held us back from that step. So as to avoid returning to this matter now, in the middle of summer, I agreed to a December wedding date. I need to talk about whether I will go to the West or stay in Pieszyce. I also shared my anxiety with Halina, but she perceives it differently, explaining it as my being overworked—or as she described, my desire to escape myself. “I could never escape from you,” I answered her.

Halina is a very practical and sensible person, blessed with a great tact and a sense of fairness. I’m truly head over heels in love with her, but I am aware that I’m not mature enough yet to marry. I want to establish a family, but I don’t want to hurry. She treats me in a motherly way, meaning that if she doesn’t agree with me, she ends the debate with: Remember, the last word belongs to you, but I’m the most important person in your life and wish you well. For me, she is an angel and the best thing to ever happen to me. I love her, but I can’t decide about marriage. She can.

July 15, 1981

Yesterday, the ninth Special Convention of the Polish Communist Party (PZPR) began in Warsaw. What will happen as a result of this special convention no one yet knows, but it’s not that hard to guess. The ruling party will publicly declare their concern for workers and then announce the next increases in prices of meat, vodka, cigarettes, etc. It will voice concerns about the homeland and recall its unbreakable alliance with the USSR and the brother countries of the socialist family. A few leaders of the party—for the sake of their health—will disappear from society.

And that is all.

If any of the big PZPR communists openly said, „People, it’s bad,

communism is ending, we are bankrupt, we apologize to the whole nation for everything that has happened over these icy years under communism. A new time has arrived; let's sit down and talk about our mutual home. Poland, forgive us" then that would be a special convention for me.

.

August 1981



August 11, 1981

I've come back to *Literature Around the World* and the further studying of Milosz. On page 53 of the journal, it says: "I knew an old woman, who in difficult moments of life slowly lifted her hands to temple, saying: Oh, I'm located on a desert island, I don't have anything to do with people, run, run somewhere far."

We are all—too some degree—this old woman facing our own helplessness in the surrounding world. We focus on the island of legend and desire—that somewhere else could be better. Yet we crave our island-safety, which means isolation from the rest of the world.

Life requires warfare to survive—brutal warfare, in which there is no place for mercy. I close my eyes and see myself sitting on the edge of a cage with a club in my hands. I open my eyes—and I'm walking into the dry goods store in Pieszyce and I ask if there are any socks or underwear. No, there are not, the saleswoman answers. And down falls all of the Western Roman civilization—with its coliseum, Shakespeare, and Mickiewicz—squarely on my head, leaving only an oddly opaque fog in its place. For what is the purpose of such inventions if we can walk with a bone of a wild boar in our nose, a bird's feather held into the hair, and a wreath of grass around our necks.

August 20, 1981

During the last week, the leaders of our nation (at least, that's who they think they are) Kania and Jaruzelski met with the Soviet leader Brezniew at the Kremlin. *Poland hatched an anti-socialistic force, trying to knock down the only bright system in the world.* What must be done? Don't let them eat, lengthen their work hours, scare them with the rotten West and eventual prison.

The countries of Western Europe offered aid in the form of free food for Poland. Italy is the last country to come to Poland's aid. The communists—without embarrassment or shame—take such delicacies to share among their party friends. If the nation would demand bread,

we would have...well, a gun butt across the lower back.

The most recent joke in Zenek's barbershop is to declare a war on Germany, surrender, let them catch everybody in a roundup, and then let them take care of all the work. That's horrible.

So what is with the communism— is it good or bad? Probably good, but only for communists and sly fellows. For people like me, it is a horror, plain and simple.

August 28, 1981

Finally, I have in my hands the June issue of *Literature Around the World*, dedicated completely to Milosz. The light green cover boasts a handwritten poem entitled *Gift*. There is a poem called *Hour* on the back. This month's issue begins with Maciej Kazimierz Serbiewski's poem (the poet wrote in Latin in the 17th century) and with fragment of Milosz's acceptance speech for the Nobel Prize, delivered on December 8, 1980, in Stockholm.

Milosz defines the attributes of a poet: greed in the eyes and a will to describe. However, whoever comprehends poetry—knows and describes it—must be conscious that they are stepping into a serious dispute with modernity, fascinated by innumerable theories of specific poetical language. Every poet who writes in his native language depends on his ancestry, for he has inherited style and forms developed by those before him. However, at the same time he feels that the old manner of speech is not adequate for his own experiences.

What Milosz thought about writing—greed of eyes and will to describe—and how it relates to innumerable theories of the peculiar poetical language... I must think about that a bit longer. When I read that, I had the impression that I understood it. Now, when I put the book on the table, my thoughts escape like frightened birds.

September 1981



September 5, 1981

A few hours ago, Halina went to her house in the town of Bielawa. All things considered, we spent two weeks that passed by like a beautiful dream. Now, sitting in an empty apartment, I appreciate her presence even more. I walked her to the bus stop, and her smell has not yet had time to dissipate. I still feel the warmth of her hand on her tea cup, and I already miss her and can't wait for her to be here. However, during our time together, we did not talk much about my trip to the West for the Golden Fleece. There were many opportunities, but she clearly avoided that topic. Why didn't I push her to the wall and ask her directly? Only one explanation is available: if she would like to go with me, she must bring up the topic herself. Suddenly I came up with an idea—that if she wanted to go, she would hint it instead of me having to persuade her that a trip to the West would offer many benefits.

I didn't have time to return to reading *Literature Around the World*. I thumbed through it, stopping briefly to pore over parts, like the few poems on Josifa Brodski, a translation of the work of Stanislaw Baranczak on page 264. I very much liked the poems of this Russian man, but I could not recall ever running into his name. The biographical note explained why: he was a poet— an emigrant who has lived in the United States since 1972. On page 230 was the poem of Robinson Jefferson, an American poet who died in 1962, translated by the Nobel Prize recipient. His poem was entitled "Love the wild swan."

September 10, 1981

I was so focused on politics and everything that was happening in the country that I forgot about my decision: go to the West or not? But how could I think about this when the Solidarity Convention at Olivia's hall in Gdansk started on September 5? Rebellions arose in Polish prisons— something unheard of just a few short months ago. Criminals were demanding their rights. More and more often life surprises me with something that—not that long ago—was completely normal, to which

I was practically indifferent. What is going on at present is so important and exceptional—probably the first time since the end of World War II that the eyes of the world, with great interest and friendliness, have been directed at Poland.

We could make the most of this fact for ourselves. I have the impression that the West has started to feel a certain affinity for Polish people. Many of my friends have already assumed that I have left country. I have carried my passport in my pocket for three months. It's high time to make some decision. I will go to work in Germany or Austria. How strange it sounds in the ears of a Polish man. *I will go to work in Germany.* Even after almost half a century after the war, my homeland cannot secure essential resources for life for its young generation: shoes, bread, meat, TV, a piece of chicken for a Sunday lunch...It's a shame to write about such prosaic issues, but those are the main reasons why young Poles make trips to work abroad, knocking on the door of strangers.

September 14, 1981

Halina doesn't want to hear about any trip: "We are going nowhere." Her words are deafening in their resoluteness. When I make plans about earning money in the West, I tell her how we could spend it, but she gets even more upset, hanging her head down and signaling to me what she thinks about all of it.

She still doesn't have a passport. "For me, the West doesn't exist," she says. The French catalog of wooden furniture that she liked so much a few days ago she now shoves away. I point to it, explaining that we would have to work our entire lives in Poland to be able to buy such furniture. But she brushes me off with her "so what," adding that people are happy without beautiful wooden furniture. They live, work under communism, and nothing bad happens to them.

The West no longer interests her. She considers Western well-being to be a luxury she can do without. She has grown indifferent to stories of a better life, stating that Poland offers the best life for us because we were born here. Why look for happiness in the rest of the world if we can't find it in the place we know best—our own home? She is even ready to see

the beauty in the lines for bread and milk. “Look,” she says to me, “how wonderful is it that people wait in lines, talking as they pass the time so nicely. Without such lines, everyone would buy their products quickly before rushing back to their apartments, where they would double-lock their doors, switch on the TV, and die from boredom due to loneliness. In line, people are nicer and more authentic—even if they are arguing.”

She pushes me stronger to get married now. “December is a long time to wait,” she explains. “Let’s get married today.” She hangs her head, adding, “Someone told my mother that we are shacking up. Apparently, all of Bielawa is already talking about that, and in Pieszyce everyone knows that we are a married couple.”

September 15, 1981

The atmosphere in Pieszyce has become increasingly sad. My friends and acquaintances are leaving in groups. People openly talk about a state of emergency—even war. Solidarity announces new strikes. The Soviets won’t wait much longer. They are looking for a sign from Moscow. What will happen then...it’s better not to think about it.

The summer has not left us yet, but autumn is already stubbornly knocking on the door. Nights are particularly haunted by the impending cold. People bustle about their homesteads like squirrels, stocking provisions for the winter. They can pickles and shred cabbage. Mr. Rysio Marczuk makes his fruit wine and swears not to even look at a bottle before the New Year. Others dig up mounds for potatoes. Old lady Kaczmarkowa has been chopping wood by herself for the last three days. She has so much, she could burn down all of Pieszyce.

The smell of fresh pickles and cabbage mixes with the smell of apples and plums being cooked for jam. Garlands of mushrooms swing in windows as if amulets, testifying to the exceptional luck of their owners. Not waiting for winter, Koszela—the neighbor from below—kills rabbits and Mazurek, coypu. In the front yard, he smokes the meat of the animals in specially prepared brick ovens, making sausages. At night, people listen to the Radio Free Europe or the Voice of America, shaking

their heads with resignation as they wash barrels, churn butter, and salt pork fat.

The Soviets have organized military maneuvers close to Poland's border to the east. Everyone knows something's cooking—something bad—but no one wants to foretell evil aloud. "Our" Soviets stationed in nearby Swidnica also become nervous. "The Poles stopped striking because, for the last few months, we have been sleeping in our clothing and shoes," Kuriata, who trades gold with them, repeated what they said. The Soviets want to scare the followers of Solidarity. If something happens, the Soviets could reach Pieszyce in half an hour. That thought won't let me rest. Without shooting a single bullet, they could do anything to us. Other than axes and scythes, we don't have any weapons. Moreover, a stronger will to live is no longer evident.

September 18, 1981

Halina doesn't want to go to work in Austria. In general, she doesn't want to go anywhere. Now, after six months of talking about it, she has decided to stay at her mother's in Bielawa. The West is not for her. Thinking about trips makes her sick. Neither furniture nor the vision of a better, more comfortable life interests her. She claims that we have been sentenced to poverty and have no chance to escape it. No one can run from destiny. Trying to run only creates more poverty, and you will lose what you have already gained here. It's hard for me to talk to her, much less convince her. She acts as if she knows better, and no one and nothing can convince her otherwise.

September 21, 1981

At the disco, I reached an agreement with two friends, boys from respectable homes—the so-called intelligence of Pieszyce. I have known them for many years. There were times in our lives when we were friends—even close friends. We shared common outings to the

mountains or to Otmuchowskie Lake, not to mention the disco at Mrowisko club. The youngest of them, my namesake Adam lives merely a few houses down from me in the agricultural school dormitory. I often played ball with his father in the agricultural school yard. I have actually known him my entire life.

Similarly, Alek and I have known each other for years. We have spent many weeks together during the summer, catching fish in the pond by the train station. We went to the same grammar school—Number 4, called “Millennium”—which prisoners built. Twenty years after it was built, it fell apart as if made of mud. We often shared stories of how the prisoners gave away lime, cement, and bricks to the local farmers in exchange for a bottle of wine. The school was built on the construction manager’s word of honor, so it’s not strange that it is falling apart.

September 22, 1981

A friend of a friend bought my TV, and I gave Zbyszek Wojcik some of my books. The rest I would give to Marian Zachoszcz to keep until my return. I have to sell everything in the apartment: the table, armchairs, my stamp collection, stuffed birds, deer antlers, post-German paintings, and a collection of French books from the 18th and 19th centuries that I long ago dug out of a paper dump behind one of the textile factories. These books and others object that I so wanted to have to be happy and feel good in their presence I now must sell in a week. I have to get rid of all this as soon as possible, straight away. I don’t have any opportunity to haggle on the prices because buyers know that I have decided to go on a trip. If my prices don’t suit them, they simply hold out until I can’t help myself. As soon as possible, I must open a bank account in dollars. I have five dollars; to leave for the West I must have 150—such a big amount that it’s hard for me to imagine it. How do I get that kind of money? Few people want to get rid of their dollars. People believe the downfall of the zloty is imminent. In Poland, the dollar has always been a way to protect us from this—besides gold, of course. By some miracle, I was lucky enough to buy two camping rations of canned food on the black market for my journey.

September 23, 1981

Halina is growing increasingly sad, and in this sadness she is becoming more and more beautiful. I could even say that sadness suits her, but I don't say that because my internal world is falling apart due to her sadness. My heart crumbles when I look at her. I can't imagine life without her, but I keep my decision to make my trip without her. The girl runs wild; she doesn't even want to be touched or kissed. I talk to her, but I have the impression that my words don't reach her. Old lady Kaczmarkowa would say that the girl is dejected. At present, our conversations consist of convincing each other, so she shows her point while I show mine. Neither of us wants to retreat. She advises me against my journey, sharing horror stories of being frightened by hunger, being knocked around—whatever the worst she can share. But I can't withdraw, I don't even want to. Besides, I don't trust her fear of hunger. It seems to me that her idea of the West is too antiquated to be true. My idea of the West is different.

Many things I have already sold ridiculously cheap. I can't even say for how much because it would be a shame for the family, as people say. I do everything to get those longed-for dollars. I am giving my apartment to my brother even though I could sell it quickly. I prefer to be protected in case something goes wrong, so I can always return home.

My brother can't eat he is so happy, although he doesn't turn away alcohol. He doesn't want to believe that I have given him the apartment for free, on the condition that he puts candles our parents' grave on my behalf and, if something goes wrong, he always lets me in under his roof. In a single day, I have become a benefactor for his family and his children look at me like a hero. All in all, he couldn't wait to get the key to the door. This is how much a brother's friendship is worth—a brother with whom I slept in one bed, under one blanket—given the possibility of getting an apartment.

September 26, 1981

In the leather store, I hand over my meat stamps to bribe Jola. I need a suitcase or some carryall bag. I don't have anything in which to pack the sum of my life. I remember we once had some suitcases at home, but father clearly managed to sell them for vodka before death closed his eyes. Just like all our most valuable possessions. He sold post-German clocks, antlers, samovars, paintings, chairs, a table set—in a word, everything for which there was both a buyer and demand. The rest of the devastation I did myself.

The price of the suitcase is almost equal to my salary. When I tell Halina, she shrugs her shoulders and says: "So what?"

"What 'so what?' I'm surprised. "That is paranoia."

"Yes, paranoia," she repeated, "but 36 million Poles live in this paranoia and they don't run to the West."

"I am not running either," I defend myself. "I am going after the money for furniture, clothes, and that's all. Money is needed for a normal life even in the abnormal country of Poland."

"You work for furniture, but you don't have an apartment anymore because you gave it up to your brother. So you must earn enough for furniture and an apartment—and then a car and the devil knows what else. In a word, life is not long enough to earn enough to pay for all of it," Halina says.

"Then go with me. Together we can earn the money faster," I say, but she turns around and sobs.

Over her sobs, I hear her choked words: "Furniture is not needed for your happiness, I'm needed for your happiness. Don't you understand that?"

"I understand," I reply humbly. "You are needed for my happiness, which is why I'm begging you go with me. Together we would experience something wonderful, something we could never dream of here, where the stores shelves are empty. Even vinegar and mustard have disappeared. Meanwhile, three saleswomen sit in the empty store knitting. Why should they care about the empty shelves? The state pays their salary regardless. The same is true throughout the country. How many stores like this one are there?"

September 28, 1981

Halina still doesn't believe that I am going. She thinks I'm kidding. My energetic actions—selling books and other stuff from the apartment, quitting my job—mean nothing to her. Nothing reaches her. I could leave her alone. She cries. I assure her as I only can that I love her, that she is the most important thing in my life, and that I would never love anybody beside her. The more I reassure her, the less she believes in my assurances.

She claims that, if I truly loved her, I would not even think about a trip without her, leaving her alone. She can't understand that life is life, so love is love. For her, life is love, and for me love is life. How can I solve all this? More and more I let her drag me into philosophical discussions which resolve nothing. I don't want to leave because I don't love her, but because I *love* her. Unfortunately, something has happened to me and life in a communist system is not longer interesting to me. Suddenly, I felt unhappy; I realized that 300 kilometers west of here, my life would look absolutely different. Why not take advantage of such an opportunity and taste such a forbidden fruit? Nine of my fifteen best friends have already left. They have seen the world, returned with money, bought apartments and cars, and sent their children to private language lessons and dance or music schools. For such basic goals in life, must one so obviously betray their homeland and love?

"How much could I earn as a worker of the Cultural Center? How much could you earn as an industrial interior designer?" I ask her, but she only hangs her head and cries. "Think about it," I say. "Solidarity has already closed all the cultural and tourism sections in the center. Only the manager, librarian, and janitor are left. It's the end of grants for culture. Photographers don't have money for supplies, and even if they do, the stores have nothing. The same is true for mountaineers and people who enjoy sailing or fine art. I give up. It's over. Something has to change."

"If it must change, then it should change as soon as possible," she replies, looking at me with eyes full of tears. "You think you can run from here and forget about me and about everything, but you are mistaken. Even if you left for the end of the world, you would always be back with

your thoughts here, because this is your only place in the whole world. Don't you understand that?"

"No, I don't," I reply to her, even more furious at her than usual. It is the same old argument—that happiness can only be found here, this is the best place, etc.—and I have had enough. Why would I miss this place? Why would I come back here with my thoughts? Never would I look at this site with a tear in my eyes, because this place will always be inside me. With it, I would wander around the world, but without exaggeration. I can love Pieszyce, but do I have to suffer from it? That's too much to say.



October 1981

October 4, 1981

With Halina, we had an “Indian wedding,” a party that simultaneously served as a farewell to our friends. The party took place in my empty apartment. We sat on the floor, some on a piece of wood or trunks, which my brother will burn in the stove during the winter. We spent the evening happily, having a lot of fun, but I quickly got tired of the company. My thoughts turned to the unknown world to which I am heading. The faces of friends smiled at me, their eyes dazed with alcohol as they looked at me for the last time. At least I have that hope, or I must here make the correction that, if not the last time, then probably we will not meet anytime soon.

Halina gave me a wedding present: a poetry volume of the great Mickiewicz and two fish in tomato sauce cans. I completely forgot about a wedding present for her. Using an old shirt, I wrapped two notebooks with my poems—over 400 poems in all. I also gave her the old washing machine “Frانيا,” which my sister-in-law had wanted. For the first time in several weeks, I kissed Halina while giving her the presents.

The smells of her skin stupified me. For a second, I wanted to cuddle, but her eyes clearly said no. I felt the sadness in her look, and even if she didn’t cry this time, her eyes were watery and each invisible tear fell from her eyes becoming a hot spark on my cheeks. I love her that much, but she can’t understand that. What do I do? For the first time in my life, I am in a situation with no going forward or back—or even to the side. I fall into the trap of my imagination. It’s very hard for me. I suffer and experience a searing hot hell of internal uncertainty. I ask myself the same question a thousand times: *What do I do?* How can I survive such stress?

October 7, 1981

After selling off my whole apartment, I just have 80 dollars. I still need 70 to open a bank account. Alek, my trip companion who sold his house offers to lend me the remaining 70 dollars, but for interest he takes one of my cans of food for the trip. I didn’t have a choice; I had to give it to

him. The money would stay in the bank for a few days, and then I would give it back to him. It's unbearable to think that, three years of my work and the valuables I have sold have a value of 80 dollars—the average cost of a bottle of perfume in Paris. Pure abstraction, surrealism, paranoia—in a world heaven of communistic stagers, for whom eau de cologne has no importance.

October 13, 1981

It is just now starting to hit me what I'm actually doing. I don't want to turn back, even though I feel that Halina will be lost forever. By not agreeing to the journey, she seems to have made the decision to split from me forever. Our love—sweeter than handmade furniture, mutual future, being supported by our own hands—now hung over a ravine. However, can one put an equal sign between that and the furniture? My anxiety is growing, fear in the face of losing my dearest, sweetest angel with red hair, green eyes, and lips sweeter than sultan's cream is moving up my throat, slowly paralyzing me completely.

October 24, 1981

I have already packed everything—a few old shirts, sweaters, slacks, towels, etc.—and in a few days we are setting out on our journey. I still have several thousand zloty, which I can spend on anything, but there is nothing in the stores. Sejm (the lower house of the Polish parliament) is calling for civil rest. Solidarity is calling to make decisions about strikes with deliberations. If such a situation continues, simple people will completely lose their orientation. Never mind the fact that they will not have anything to walk with—my so-called shoes are literally falling off my feet, and I'm not able to buy new ones because there are none in the stores. I have even tried to arrange for some, but they brought me shoes that were three sizes too big, so I gave up. If I stayed in Poland, I would undoubtedly take them for exchange as money is losing its value.

There is no need to write about how tired I am, how my nerves are

frayed by Halina and the trip, and it is only with great difficulty that I can find a place for myself. I'm exhausted, and as my departure nears, I feel an increasing stabbing pain in my heart. My gaze is on the clock, as I impatiently monitor its hand movement. I don't sleep, but keep a vigil, waking every few dozen minutes. I stay by myself with the packed suitcases; Halina has already moved away from me, withdrawing from my life, which is already beyond the border—I think about this with great sorrow and feel bad. It's almost four a.m., and dreams are closing my eyelids. I want to fall asleep, but the sheets are burning my back.

The driver will be Alka's brother-in-law, one of the shrewdest boys in Pieszyce, who goes shopping abroad a few times each year—this is why he is considered smart. Four of us will head into our better future in a small Fiat. It is no Mercedes, but history knows many who set out on a journey having only a gnarled stick in a cupped hand.

October 29, 1981

At 2 p.m., we set off, just as the first shift left work. Halina didn't even cry. Rigid, and maybe numb, with semiconscious gaze, she said farewell. I held her close to me, but I didn't feel beating of her heart. As puzzling as the Sphinx, she remains silent, bidding me farewell as if I was deceased. At the last moment, she gave me four sandwiches with sausage saying: "I kipped work to buy this sausage for you and now am almost late saying goodbye to you. My manager sends his regards; he thinks you are doing the right thing. Go and come back quickly, I will miss you. I don't care about the money you haven't earned yet, I need only you. Stay, please—sausage, shoes...that's not everything. I love you."

People I have known since birth arrived on the sidewalk, with closer friends on their heels, and the street was growling with car engines. For a moment, the town was revived, and I felt embarrassed. The passers-by glanced at my face, and I wanted to leave as quickly as possible.

With the end of my scarf, I furtively wiped away my tears, furious at myself, Halina, and the entire world. I wished for only one thing: to cross the Polish-Czech border as soon as possible and be as far as possible away from Pieszyce.

“Go, go” I urged the driver. “Go and don’t stop anywhere along the way.”

Dziennik pieszycki po 35 latach

Zapiski znad Zatoki San Francisco Adama Lizakowskiego otrzymały w 1996 roku I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Pamiętnikarskim im. Gen. Stanisława Maczka pt. „Zachodnie Losy Polaków 1939-1989”. Konkurs został ogłoszony przez Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” w Łomży. Na konkurs napłynęło ponad 250 prac z 19 krajów, pięciu kontynentów. *Zapiski znad Zatoki San Francisco* są tematem wielu prac magisterskich napisanych m.in.: na Uniwersytecie Rzeszowskim, Wrocławskim, Zielonogórskim, Katowickim, Lubelskim, Jagiellońskim. Dzienniki Lizakowskiego są dokumentem ukazującym szlak, jaki przeszli młodzi ludzie jego pokolenia z komunistycznej Polski na upragniony Zachód w czasie powstawania „Solidarności” i pierwszych miesięcy stanu wojennego. Dobrze też się stało, że Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie, po raz kolejny (pierwszy był tomik wierszy pt. *Bielawa. Randka Trzech Sylab*, 2014 r.), wyciągnęła dłoń do poety i wydała *Dziennik pieszycki*. Myślę, że zainteresowanie tymi zapiskami będzie dużo większe niż w Chicago, Londynie czy w Krakowie. Przecież autor *Dziennika*... jest synem ziemi sowiogórskiej, i tam powinien mieć swoich najwierniejszych czytelników. Chociaż znamy też biblijne powiedzenie, że najtrudniej jest być prorokiem we własnej ojczyźnie.

Dziennik pieszycki, część pierwsza *Zapisków*..., rozpoczyna się w styczniu 1981, na rok przed wprowadzeniem stanu wojennego. W październiku 1981 roku Adam Lizakowski opuszcza Polskę na fali, w czasie której Polacy opuszczali kraj w latach 1980-1983. Emigrację tę nazwie on „Złodziejami czereśni”. Tematem *Dziennika*... jest sytuacja w Pieszcych i Polsce w roku 1981. Jeszcze nie ma mowy w nim

o zderzeniu się z cywilizacją i kulturą Zachodu, bo autor jeszcze jej nie znał. Jego życie w upragnionym raju kapitalistycznym nie będzie łatwe, a on sam będzie postrzegany jako Polak anytsemita, człowiek drugiej kategorii pochodzący z kraju, który przeciętny Amerykanin nie potrafi umiejscowić na mapie świata, ale ten sam Amerykanin będzie wiedział, że Polska to zaściankowy kraj, zacofany gospodarczo i kulturalnie. Elity amerykańskie będą wiedzieć z tysiąca filmów i książek dużo więcej o holokauście, niż o Powstaniu Warszawskim, czy Katyniu. Dlaczego tak jest, autor *Dziennika*... nigdy wprost nie odpowie. On nie interesuje się polityką, chociaż polityka dała mu paszport i wyniosła poza granice kraju. Lizakowski będzie w swoim *Dzienniku*... piętnował rodaków i ich zachowanie, ale recepty na polskość nie znajdzie. Nie odpowie, co to znaczy być dobrym Polakiem, patriotą. Tych kłopotliwych pytań nie będzie sobie stawiał, ale przez cały czas, będąc na emigracji, ta polskość nie będzie dawać mu spokoju do tego stopnia, że jego wypowiedź literacko-poetycka będzie mocno powiązana z jego „sowiogórskim ja”. Jego „ja” ukształtowane zostało nie w Pieszcach, ale w San Francisco, z dala od Polaków i kraju. Ale zanim wyjedzie z Pieszc, są już w *Dzienniku pieszyckim* pierwsze namiastki tego, że coś się z nim dzieje, z jego tożsamością. Po raz pierwszy w życiu, właśnie w Pieszcach, budzi się jego świadomość. Nie zada sobie pytania, kim jestem? Ale pisanie rozbudza obserwację, np. uświadamia sobie, że Pieszcze jako miejscowość, w której mieszka, przynależą historycznie do Księstwa Świdnickiego. Gdyby nie pisanie *Dziennika*..., być może nie zainteresowałby się historią regionalną.

Dziennik pieszycki jest jedną z trzech najbardziej osobistych części *Zapisków*..., pisany nie w tonie troski i zmartwienia emigranta, ale rozterki młodego człowieka, który szuka swojego miejsca w świecie, próbuje ocalić swoją miłość, chce się urządzić, zarobić pieniądze na upragnione meble i lepsze życie. W tym bardzo chaotycznym i bardzo trudnym czasie dla wszystkich Polaków, Lizakowski gubi się, rezygnuje z miłości dziewczyny, aby zobaczyć „wielki świat”. Jest rozdarty pomiędzy tym, co jest, a tym, co ma być. Chce zabrać ze sobą Halinę, ale chce też „skosztować zakazanego owocu Zachodu”. Jak się okazało, nie można było tego zrobić. Elementem, który najbardziej porusza czytelnika, jest niezdecydowanie i rozterka autora, w którą wpędziła go odmowa

wyjazdu ukochanej. Zagrożenie w Polsce staje się powoli faktem, ludzie mówią nawet o tym w Pieszcach, z dnia na dzień sytuacja się pogarsza. Ekonomia i polityka zaczynają odgrywać pierwszoplanową rolę, ale młody poeta analizuje sytuację XX-wieczną, jak romantyk sprzed 200 lat. Te tradycyjne podejście do rzeczywistości powoduje, że zanim jeszcze wyjechał, już czuł się skazany na boleść i cierpienie. Czuje ważność chwili i wie, że jest to historyczna chwila, nie można jej przegapić. Trzeba pisać, prowadzić dziennik, w jak najprostszy sposób pisać o rzeczach dziejących się wprost. Pisać bez wdawania się w rozumienie mechanizmów dziejów, konfliktów pomiędzy władzą a społeczeństwem. Czy zdawał sobie z tego sprawę, że Polska może utracić niepodległość, swój byt narodowy? Tego z jego zapisków się nie dowiemy. Dla niego jest ważna Halina, Pieszyce i koledzy. Jak się z nimi rozstać, jak przekonać Halinę, że zarobione dolary czy austriackie szylingi mogą zmienić ich życie na lepsze, i że oni mogą stać się lepszymi ludźmi? Ta strategia nie przekonuje dziewczyny, poeta przegrywa, myśląc, że wygrał. Jego szczęście z chwilą wyjazdu legnie w gruzach, a on nigdy nie znajdzie innej recepty na szczęście. Ten owczy pęd do wyjazdu za granicę powtórzy się, gdy Polska przystąpi do Unii Europejskiej. Dlatego *Dziennik pieszczycki* Lizakowskiego jest tak ważny dla nas dzisiaj, jego czytelników, bo historia po raz kolejny się powtarza. Błędne koło nadal się kręci, nie ma komu go rozerwać. Dolegliwości Lizakowskiego, a zarazem Polaków, stają się kwadraturą koła. Zaczyna się myślenie: stałem – zyskałem, ciulałem – zarobiłem, wrócę – nie wrócę, będzie z czym wracać – czy nie będę miał grosza przy duszy. Aby poznać ludzką egzystencję, własną odrębność, aby ją sobie uświadomić, trzeba było aż wyjechać. Wymiana kartek na mięso na walizkę, czy torbę podróżną, to próba zbudowania sobie nowego życia. Poeta z Pieszcach tego dokonał, zbudował sobie nowe życie, rachunek wyszedł mu dodatnio, wyjazd miał sens. Nie zmarnował czasu swojego życia, jego świadomość, że mimo wszystko czegoś dokonał, czego nigdy by nie dokonał zostając w Pieszcach, czyni z niego człowieka zadowolonego z samego siebie. Naiwny dwudziestowieczny, romantyczny młody poeta, w surowym, brutalnym świecie Zachodu pisze dalsze części swojego dziennika. Śni po nocach o Pieszcach, do których nawet nie myśli wrócić, bo z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, doskonalili się w „amerykańskości”. Pragnie przejść przez emigrację,

jak w bezpiecznej czapce niewidce, aby z czasem wydać swoje dzienniki, wiersze, i być sobą, albo tym, czym nigdy w Pieszcach by nie był, gdyby nie wyjechał na Zachód. To Zachód go stworzył, nie Pieszyce, on potrzebował Pieszc tylko do tego, aby się scalić, aby doświadczenie sowiogórskie poddane ciśnieniu Ameryki stworzyło własną narrację emigranta. *Dziennik pieszycki* jest tego pierwszym przykładem w skali lokalnej.

Joanna Thompson-Zawadzka
Chicago, 16 kwietnia 2016 r.

Adam Lizakowski



Adam Ligeński

Adam Lizakowski – ur. 24 grudnia 1956 r. w Dzierżonowie. W Polsce mieszkał w Pieszycach na Dolnym Śląsku, gdzie pracował w Zakładowym Domu Kultury „Przędka” jako instruktor teatralny. Debiutował w 1980 r. kilkoma wierszami, które ukazały się na łamach warszawskiego „Tygodnika Kulturalnego”. W 1981 r. w momencie wybuchu stanu wojennego przebywał w Austrii, skąd zdecydował się na emigrację do USA. W latach 1982-1991 mieszkał w San Francisco. Obecnie przebywa w Chicago.

Na emigracji publikował m.in. na łamach paryskiej „Kultury”, nowojorskiego „Nowego Dziennika”, w chicagowskim „Dzienniku Związkowym”. Jego poezja znalazła się w almanachach i antologiach wydanych w Stanach Zjednoczonych i Polsce. Rozwijał również działalność społeczną i kulturalną. Był współzałożycielem grup poetyckich „Krak” w Los Angeles - San Francisco, „Niezapłacony Rent” w Chicago oraz redaktorem naczelnym miesięcznika społeczno-kulturalnego „Razem” i kwartalnika poetyckiego „Dwa Końce Języka”. W swojej księgarni „Golden Bookstore” w Chicago w latach 1993-1998 zorganizował ponad dwieście spotkań literacko-artystycznych, odczytów, wystaw plastycznych. Był współinicjatorem utworzenia Towarzystwa Dolnośląskiego w Chicago.

W roku 1999 nadano mu honorowe członkostwo tej organizacji. Prowadzi od kilku lat warsztaty poetyckie w Jezuickim Ośrodku Milenijnym w Chicago. Od kilku lat jest niestrudżonym promotorem polskiej kultury w Stanach Zjednoczonych. W Polsce współpracuje z „Zeszytami Poetyckimi”, „Rocznikiem Dzierżonowskim”, a od 2010 r. z bielańskim rocznikiem miejskim „Bibliotheca Bielaviana”¹. Od roku 1993 jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Na jego dorobek pisarski składają się tomiki poetyckie (*Cannibalism Poetry* wyd. 1984, *Anteroom*

¹ A. Lizakowski, *Cały człowiek poemat*, „Bibliotheca Bielaviana 2010”, Wrocław 2011, s. 415-422; idem, *Pocztówka do Bielawy*, „Bibliotheca Bielaviana 2011”, Wrocław 2012, s. 485-486.

Poetry wyd. 1986, *Wiersze amerykańskie* wyd. 1990, *Złodzieje czereśni* wyd. amerykańskie 1990 i polskie 2000, *Współczesny prymitywizm* wyd. 1992, *Niezapłacony czynsz – wiersze pieszyckie* wyd. 1996, *Chicago miasto nadziei* wyd. amerykańskie 1998 i polskie 2000, *Legenda o poszukiwaniu ojczyzny* wyd. 2001, *Dzieci Gór Sowich* wyd. 2007, *Chicago miasto wiary* wyd. 2008, *Pieszyckie łąki* wyd. 2011, *156 lisów poetyckich z Chicago do Pieszyc* wyd. 2012, *Bogaty Strumień – Dzierżoniów* wyd. 2012), album *Chicago miasto nadziei w poezji i fotografii* wyd. 2005, zbiór opowiadań *Kuzyn Józef albo emigracja loteryjna po roku 1989 do Ameryki, czyli wyprawa po złote runo* wyd. 2003, dziennik *Zapiski znad Zatoki San Francisco* wyd. 2004, *Słownik idiomów amerykańskich* (współautor Paweł Marcinkiewicz), wyd. 1996), przekłady Whitmana, Williamsa, Ginsberga, Jeffersa, Sandburga, Hughesa, Kawafisa, Rumiego, Lao Tsy.

Za swoją twórczość literacką był wielokrotnie nagradzany, m.in.: nagrodą Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich z Kanady, przyznaną za szczególne osiągnięcia w dziedzinie kultury polskiej (2000), nagrodą „Laur UNESCO” (2008) za dorobek pisarski, prace przekładowe i działalność na rzecz zbliżenia kultur, nagrodą im. Klemensa Janickiego (2013), jak również odznaczany (m.in.: brązowym medalem Gloria Artis (2010), Kawalerskim Krzyżem Orderu Zasługi RP (2012), medalem Zasłużony dla Miasta Dzierżoniowa (2005) i tytułem Honorowy Obywatel Gminy Pieszycy (2008)).

Adam Lizakowski od 2000 r. często odwiedza Polskę i Pieszycę, promując w ten sposób swój dorobek literacki. Bywa również w Bielawie. Po raz pierwszy gościł w Miejskiej Bibliotece Publicznej w 2001 r., później w 2004. W 2010 r. z okazji 30-lecia jego twórczości odbyło się spotkanie w Miejskiej Bibliotece Publicznej², które miało charakter dyskusji prowadzonej przez dr Beatę Hebzde-Sołogub oraz dra Rafała Brzezińskiego, historyka, dyrektora MBP w Bielawie. W 2011 r. miało miejsce następne spotkanie w bibliotece³, z okazji 100. rocznicy urodzin Czesława Miłosza, którego Lizakowski znał osobiście.

Twórczość Adama Lizakowskiego została ukształtowana przez emi-

² B. Hebzda-Sołogub, *Adama Lizakowskiego trzydziestolecie pisania*, „Bibliotheca Bielaviana 2010”, Wrocław 2011, s. 397-414.

³ U. Ubych, *Takim go pamiętam*, „Bibliotheca Bielaviana 2011”, Wrocław 2012, s. 575-578 ; B. Hebzda-Sołogub, *Grupa poetycka „Niezapłacony Rent” z Chicago*, „Bibliotheca Bielaviana 2011”, Wrocław 2012, s. 473-484.

gracyjne doświadczenia Polaka, rzuconego w świat amerykańskiego marzenia, szukającego dostatku i wolności za oceanem, w Ameryce obrośniętej mitem sukcesu ekonomicznego. Wyobraźnia poetycka Adama Lizakowskiego została wzbogacona o gorzkie przeżycia człowieka poszukującego swojego miejsca na ziemi, rozdartego pomiędzy tęsknotą za zapamiętaną przeszłością a poszukiwaniem nowej tożsamości i nowych korzeni na obczyźnie.

Najnowsza dwujęzyczna publikacja Adama Lizakowskiego *Dziennik pieszycki* wpisuje się w wir wydarzeń kulturalnych Wrocławia, Europejskiej Stolicy Kultury 2016 r.

Spis treści

Od redakcji ...	7
Dziennik pieszycki ...	9
Pieszyce's Diary ...	81
Posłowie ...	133
Nota bibliograficzna ...	137

W serii Sudecka poezja i proza dotychczas ukazały się:

- *Sudecka poezja i proza I, I Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Ryszard Mierzejewski, *Sudecka poezja i proza II, Zraniony różą*, Bielawa 2013.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza III, Warkocze*, Bielawa 2013.
- Jan Sitnik, *Sudecka poezja i proza IV, Wspomnienia z Kosowa Huculskiego*, Bielawa 2013.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza V, Im...*, Bielawa 2013.
- Zygmunt Iwaszkiewicz, *Sudecka poezja i proza VI, Vanitas*, Bielawa 2013.
- *Sudecka poezja i proza VII, II Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Zdzisław Maciejewski, *Sudecka poezja i proza VIII, Pejzaże sowiogórskie*, Bielawa 2014.
- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza IX, Bielawa Randka Trzech Sylab*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza X, Bielawa lekcja historii na murze*, Bielawa 2014.
- Tadeusz Żurawek, *Sudecka poezja i proza XI, Zaśpiewam ci pieśń*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza XII, III Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2014.
- Maria Grabowska, *Sudecka poezja i proza XIII, Kalejdoskop barw*, Bielawa 2015.
- Roman Styrz, *Sudecka poezja i proza XIV, Opowiadania myśliwskie*, Bielawa 2015.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XV, Osiodłane myśli*, Bielawa 2015.
- *Sudecka poezja i proza XVI, IV Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2015.